NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — Do Niemiec: Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specjalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

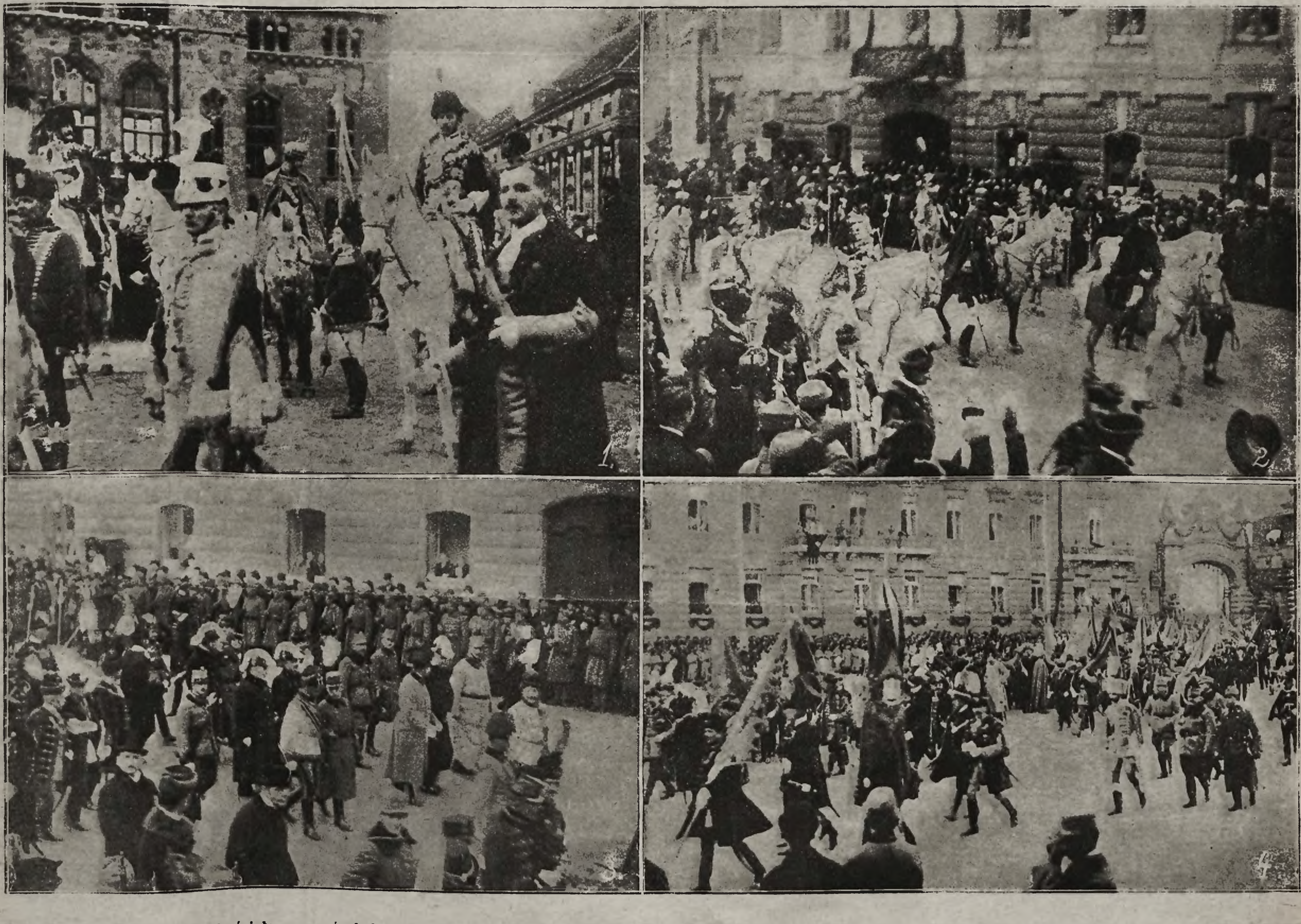
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy 20 kop — 40 fen.

Rok XIV. Kraków, 13 stycznia 1917. Nr. 2.

Koronacya w Budapeszcie.



1. Król udaje się konno z kościoła na pagórek koronacyjny. 2. Król Karol i prezydent ministrów Tisza w pochodzie. 3. Dyplomaci i posłowie w pochodzie koronacyjnym. 4. Chorążowie udają się na pagórek koronacyjny.

Koronacya w Budapeszcie.

Koronacya cesarza Karola, jako króla węgierskiego Karola IV., odbyła się w dniu 30. grudnia zeszłego





Grupa robotników z trenem w marszu do robót. **Odbudowa zniszczonego Królestwa Polskiego**: Budowa okopów. (Fot. Waydowicz).

roku ze starodawną wspaniałością i przepychem. Surowy czas wojenny zmusił do złączenia razem różnych aktów ceremonii koronacyjnej, które dawniej odbywały się po części w Budzie, a po części w Peszcie, leżącym na drugim brzegu Dunaju.

Starożytna Buda ze swemi, z dawnych stuleci pochodzącemi spiczastemi fasadami domów, tworzyła niezrównane tło dla tej uroczystości, tkwiącej w historycznej tradycyi. Świetne wystąpienie wielkich chorążych heroldowie w swych starożytnych strojach, członkowie Sejmu w złotem tkanych, często drogimi kamieniami wysadzanych strojach narodowych, wszystko to tworzyło razem wspaniały obraz, odpowiednio do podniosłego dostojeństwa tego uroczystego aktu.

Uroczystość koronacyi rozpoczęła się już od najwcześniejszego rana. Nieprzejrzany tłum ludzi płynął ulicami, na których stanął kordon wojska, aby odgrodzić miejsce dla uroczystego pochodu koronacyjnego. Obie Izby Sejmu zeszły się już o świcie, o godzinie szóstej rano, aby odbyć wspólne posiedzenie, na którem powzięły uroczystą uchwałę, aby, w sposób określony konstytucyą, wziąć udział w koronacyi. Następnie członkowie Sejmu pod przewodnictwem prezydyum wyruszyli do kościoła koronacyjnego, leżącego w sercu starożytnej dzielnicy Budy. W samym kościele byli już zebrani zastępcy komitatów i miejskich municypiów, przybyli ze wszystkich części kraju. Para królewska około godziny wpół do dziewiątej rano opuściła zamek i ośmiokonnym galowym powozem udała się w wielkim



Koronacya w Budapeszcie: Ośmiokonny powóz galowy z parą królewską w drodze z Zamku do kościoła koronacyjnego.

orszaku do kościoła. Z boku powozu jechała konno węgierska gwardya przyboczna i kroczył oddział dworskiej służby.

Pół szwadronu huzarów otwierało i zamykało pochód, który od zamku poruszał się wśród szpaleru wojska i wielotysięcznych tłumów ku kościołowi koronacyjnemu. Ożywione okrzyki „Eljen" zwiastowały przybycie pary królewskiej, która wśród honorów wojskowych honorowej kompanii honwedów wysiadła z ośmiokonnego powozu dworskiego i pod baldachimem weszła do portalu świątyni, skąd, po powitaniu przez ks. prymasa, kardynała Csernocha, przeszła wśród dźwięków fanfar do kaplicy Loretańskiej, gdzie byli zebrani najwyżsi dostojnicy węgierscy. Teraz, przy ponownych dźwiękach fanfar nastąpiło uroczyste wejście do kościoła koronacyjnego. Na czele szedł królewski węgierski wielki strażnik, za nim członkowie gabinetu węgierskiego i wspólni ministrowie, prezydya obu izb Sejmu, chorążowie ze sztandarami, potem herold, obaj strażnicy koronni, obaj królewscy komisarze i szereg dygnitarzy, niosących insygnia koronne: wielki i mały krzyż i miecz św. Szczepana. Ban Chorwacyi niósł jabłko koronacyjne, zastępca Iudex Curiae berło, a zastępca palatyna, hrabia Tisza, koronę świętego Szczepana.

Poprzedzony przez węgierskiego wielkiego ochmistrza, biskupa z krzyżem apostolskim i zastępcę węgierskiego wielkiego koniuszego z obnażonym mieczem, cesarz-król, w uniformie galowym węgierskiego generała, z kołpakiem w ręku postępował,





Budowa cegielni. **Odbudowa zniszczonego Królestwa Polskiego**: Układanie drzewa pod budowę drogi. (Fot. Waydowicz).

mając po bokach asystujących biskupów, a za nim szli: węgierski wielki szambelan, kapitanowie obu gwardyi i generalny adjutant, ks. Lobkowitz. Następnie szła cesarzowa królowa, we wspaniałym stroju koronacyjnym, prowadzona za rękę przez wielkiego mistrza ceremonii, a z obu jej stron obaj asystujący wach: „Ut omnibus fidelibus defunctis" podnosi się ks. prymas i czyni pastorałem znak krzyża nad głową króla, poczem król, wspierany przez obu asystujących biskupów, podnosi się i opuszcza ołtarz.

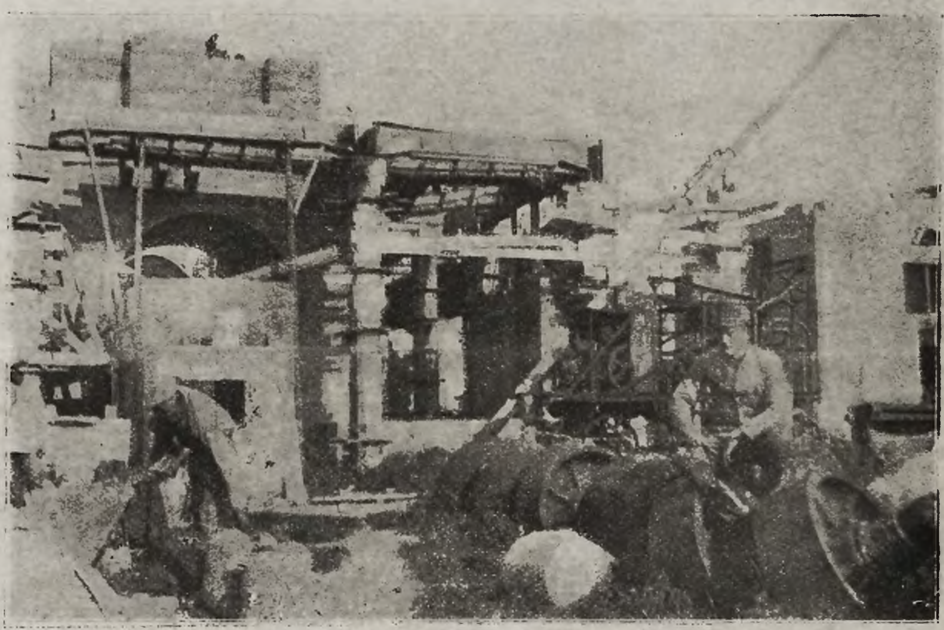
Wśród fanfary i dźwięków trąb zaczęła się Msza św. Po podwójnem Alleluja udał się monarcha salwę. Następnie odprowadzono monarchę z powrotem na tron, a ks. prymas intronizował króla wśród przepisanej formuły. Rozległa się trzecia salwa i uderzono we wszystkie dzwony miasta.

Z kolei odbyła się koronacya królowej, która tymczasem zdjęła koronę domową i wręczyła ją przed



Znoszenie ziemi na budowę drogi.

Odbudowa zniszczonego Królestwa Polskiego:



Budowa cegielni. (Fot. Waydowicz).

biskupi, za nią zaś niosące tren ochmistrzynie, małżonka zastępcy Iudex Curiae i damy pałacowe. Sześciu węgierskich gwardzistów przybocznych zamykało pochód, który posuwał się ku wielkiemu ołtarzowi.

Para cesarska zajęła miejsca na tronach, przygotowanych pod baldachimami. — Gdy wszyscy uczestnicy pochodu zajęli wyznaczone im miejsca, drzwi kościoła zamknięto i rozpoczęła się ceremonia koronacyjna.

Następnie król opuszcza tron i zajmuje miejsce na krześle, na dolnym stopniu ołtarza, naprzeciw ks. prymasa. Arcybiskup Kalocsy i ks. prymas wymieniają przepisane zapytania i odpowiedzi, poczem król powstaje, wychodzi na najwyższy stopień ołtarza, klęka i położywszy obie ręce na Ewangelii, trzymanej przez ks. prymasa, składa przysięgę na sprawiedliwość i pokój, poczem pochyla głowę na leżącą na ziemi poduszkę, a równocześnie ks. prymas, klęcząc, odmawia litanię do WW. Świętych. Przy sło- przed główny ołtarz i ukląkł na poduszce, poczem przyjął z rąk prymasa odsłonięty miecz św. Szczepana. Wkrótce oddał go ks. prymasowi. Miecz schowano do pochwy, poczem król, któremu miecz przypasano, wyciągnął go i uczynił zwyczajowe uderzenia krzyżowe naprzód, na prawo i lewo, poczem go znowu schował. W tej chwili zabrzmiała pierwsza salwa strzałów.

Monarcha ponownie ukląkł na najwyższym stopniu ołtarza, poczem prymas, ks. Czernoch, i zastępca palatyna, hr. Tisza, nałożyli na głowę monarchy świętą koronę. Podczas, gdy inni arcybiskupi i biskupi wyciągnęli prawą rękę w kierunku św. korony, wygłosił ks. prymas wśród słów: „Accipe coronam regni" błogosławieństwo. Następnie wręczył królowi wśród odpowiednich słów berło i jabłko koronacyjne, a obaj asystujący biskupi przy pomocy pierwszego ochmistrza dworu i królewskiego podkomorzego odpasali miecz św. Szczepana; jeden z biskupów położył miecz na ołtarzu, poczem kompania honwedów oddała drugą ołtarzem ks. prymasowi wśród przepisanych słów, poczem powróciła na swe miejsce na tronie. Zastępca palatyna zdjął królowi z głowy koronę. Po namaszczeniu królowej, włożył biskup wesprymski koronę domową królowej na głowę, podczas gdy ks. prymas przy pomocy zastępcy palatyna dotknął św. koroną Szczepana prawego ramienia królowej. Po przyjęciu przez królowę berła i jabłka koronacyjnego, zaprowadzono królowę do tronu obok króla. Prymas zaintonował „Te Deum", a równocześnie zabrzmiała czwarta salwa kompanii honwedów, oraz zagrzmiały działa i dzwony.

Podczas kontynuowania Mszy św., odebrał biskup wesprymski królowej berło i jabłko i wręczył insygnia królowi. Po Ewangelii złożyli asystujący biskupi insygnia państwowe z powrotem na poduszkach a para monarsza ucałowała Ewangelię.

Podczas Offertorium przystąpiła para monarsza do głównego ołtarza, ucałowała, klęcząc, podaną im przez ks. prymasa patynę z świętą Hostyą i złożyła



Z frontów bojowych: Zburzony przez uciekającą armię rumuńską most na rzece Argesul. Obok wybudowany przez armię niemiecką most pontonowy.

po złotej sztuce monety na złotej tacy, poczem powróciła do tronu. Podczas Agnus Dei przyjęła para monarsza pocałunek pokoju, ucałowawszy podany im przez arcybiskupa z Kalocsy mały krucyfiks, a następnie przyjęła Wieczerzę Pańską. Po skończonej ronacyjny urządzono na placu św. Jerzego, w odległości piętnastu minut od kościoła koronacyjnego. Wszystkie komitaty przywiozły ziemię z historycznie uświęconych miejscowości Węgier.

Pochód ku temu pagórkowi przedstawiał widok weszły na salę arcyksiężne, a potem arcyksiążęta. W loży obecnym był król bułgarski. Do loży tej tuż przed godziną drugą wprowadzono także następcę tronu, Franciszka Józefa Ottona. Punktualnie o godzinie drugiej otworzyły się drzwi sali i za





Wystawa obrazów „Czwórki":

Obrazy J. Męciny-Krzesza z cyklu „Ojcze nasz". Fragment wystawy z obrazami Ant. Piotrowskiego, St. Radziejowskiego i L. Stasiaka.

Mszy św. opuściła para królewska kościół i z orszakiem udała się do zakrystyi.

Nastąpił akt uroczystego złożenia przysięgi pod gołem niebem, wśród salw dział i dźwięku dzwonów. Na placu św. Trójcy przed katedrą, król w pełnym ornacie wstąpił na estradę i podniósł w lewej ręce krzyż, a w prawej palce do przysięgi i przed zebranym narodem złożył przysięgę na konstytucyę. Potem uformował się pochód koronacyjny, aby króla zaprowadzić na wzgórze koronacyjne, gdzie, według starodawnego zwyczaju, monarcha mieczem św. Szczepana wywinął w cztery strony świata, aby zaznaczyć symbolicznie, że jako najwyższy stróż państwa jest zdecydowany bronić kraju przed wszystkimi nieprzyjaciółmi, skądkolwiekby przyszli. Pagórek koniezwykle okazały. Szwadron huzarów rozpoczynał go, za nim pieszo postępowali członkowie sejmu i wysłańcy municypiów, ministrowie węgierscy i wspólni. Dalej na koniach: królewski herold, jedenastu chorążych i węgierski najwyższy odźwierny, chorążowie z insygniami królewskimi, zastępca palatyna, arcyksiążęta, król; trochę ku przodowi po prawej ręce biskup z krzyżem apostolskim, po lewej ręce zastępca królewskiego wielkiego koniuszego, kapitan gwardyi przybocznej i generalny adjutant. Orszak koronacyjny zamykał szwadron huzarów.

Ostatni obrzęd koronacyjny stanowił obiad koronacyjny. O godzinie wpół do drugiej w wielkiej sali zamkowej zebrały się osobistości, zaproszone na ucztę koronacyjną. O godzinie w pół do drugiej dygnitarzami zjawiła się para Monarsza, powitana burzliwymi okrzykami „Eljen". Król z królową zajęli miejsca na dwu fotelach tronowych w środku stołu. Wybrani Przez Izbę posłów i Izbę magnatów posłowie i magnaci wnieśli dania pod kierunkiem wielkiego stolnika, podczas gdy zastępca wielkiego podczaszego nalewał wina. Wnet potem powstał monarcha i z puharem w prawej ręce, wzniósł okrzyk: „Niech żyje ojczyzna!". Obecni powtórzyli z zapałem okrzyk. Po wniesieniu wszystkich potraw, powstał prymas z puharem w ręku. Okrzyk jego: „Niech żyje król!" przyjęto burzliwymi oklaskami i okrzykami „Eljen!". Następnie król z królową opuścili salę.



Obrazki wojenne: Walka aeroplanu z okrętem.



Z polskich pobojowisk: Fragment zburzonego kościoła w Gorlicach.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

15

Teraz postanowiła święcie zawrócić głowę przystojnemu, eleganckiemu, światowemu młodzieńcowi, tem więcej, że Ludwik traktował ją trochę z góry i jakby drwiąco.

Różycki ze swej strony zamierzał również rozkochać ładną „kozę“, która ośmielała się czasem robić lekceważące minki. W charakterze jego było dużo zarozumiałości, więc nie wątpił, że mu się to uda.

Rozpoczął się pomiędzy nimi drażniący flirt, podwójna, fałszywa gra, w którą wkładali oboje dużo nerwów, a nic uczucia.

Anielka zapytała raz Ludwika, jak mu się podoba Józia.

— Ładna... — odpowiedział — Ale to nie mój typ...

— A jakiż jest twój typ?

— Trudno to określić... W każdym razie zupełnie inny. Teraz w Krakowie spotkałem na ulicy kilka razy pannę...

— Naturalnie ładną — wtrąciła z uśmiechem Walczakowa — bo na brzydką wiem, żebyś nie zwrócił uwagi.

— Istotnie jest ładna, nawet piękna. Przyznam ci się jednak, że w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na ogólną harmonię jej rysów. Tylko oczy jej mnie uderzyły! Powiadam ci, co za oczy! Dwie głębie... I wyraz twarzy nadzwyczajny. Tak! Zdaje mi się, że to byłby mój typ... Ale cóż, kiedy zniknęła, „jak sen jaki złoty“...

— Może spotkasz ją jeszcze... Może już jako narzeczoną albo mężatkę...

Ludwik niewiadomo dlaczego rozgniewał się.

— Ach! Tobie się zdaje, że żadna panna niema nic lepszego do roboty, jak zaręczać się i wychodzić zamąż. Iście babska mania swatania! Dziwię się, że mnie jeszcze z Józią nie swatasz.

— Ależ, Ludwisiu, czego ty się irytujesz?

Ludwik opamiętał się i zawstydził, że podniósł głos.

— Przepraszam cię, Anielko... Nie gniewaj się. Ja tak jakoś...

— No, rozumiem. Nie spodobała ci się myśl, aby ta panna, w twoim typie, wyszła zamąż... Musisz się jednak na tę ewentualność przygotować — roześmiała się Anielka trochę przekornie.

Na tem skończyła się rozmowa. Ludwik powrócił do swego flirtu z Józią.

— — — — — — — — — — — —

Im dłużej Michnik był dworu, tem większe ogarniało go zdenerwowanie.

— Józia tam z nim... Może sam na sam...

Nie zawiodły go przeczucia.

Zdala już ujrzał łódkę, która sunęła po gładkiej, spokojnej, lśniącej w słońcu powierzchni stawu dworskiego.

Wiosła dzierżyła kobieta, a naprzeciw niej bardzo blizko siedział mężczyzna.

Twarzy nie można było jeszcze rozpoznać, ale Michnik poznał Józię po charakterystycznym przechyl niu głowy. Mężczyzną nie mógł być nikt inny, jak tylko Ludwik Różycki.

Michnik zaczął teraz biedz niemal pędem w stronę stawu.

Już teraz wyraźnie widział Józię, która z wprawą rytmicznie uderzała wiosłami o wodę. Dziewczyna mówiła coś z zalotnym uśmiechem do swego towarzysza, który widocznie, aby słyszeć lepiej, pochylił się ku niej nieco.

Michnik nagle zapragnął krzyknąć tak głośno, aby tamtem usłyszał.

— Nie chcę! Nie pozwolę! Ona moja! Precz mi od niej!...

Opamiętał się jednak, że nie może przecież robić awantur i ośmieszać się.

Długą chwilę ścigał oczyma płonącemi gniewem i zazdrością łódkę, która płynęła równo, gładko, spokojnie...

Wreszcie z trudem oderwał zwrok od tego widoku. Śmiałym, pewnym krokiem, jak człowiek, który powziął stanowczą decyzyę, podążył do dworu.

Michnik poszedł prosto do gabinetu pana domu.

Walczak przeglądał księgi rachunkowe. Na widok wchodzącego wyciągnął do niego rękę z przyjaznym uśmiechem.

— Jak to dobrze, że pan przychodzi, panie Władysławie. Właśnie żona moja chciała pomówić z panem, poradzić się... Ona zamierza urządzić tutaj wypożyczalnię książek dla chłopów i...

Kazimierz urwał, bo spostrzegł dziwny wyraz twarzy nauczyciela.

— No, pogadamy o tem innym razem, bo coś mi się zdaje, że pan dzisiaj nieusposobiony do mówienia o wypożyczalni. Panu coś jest, panie Władysławie... Niechże pan siada!

Michnik usiadł. Wzburzony i zdenerwowany obracał machinalnie kapelusz w ręku i szukał w myśli słów. Nie wiedział, jak ma wypowiedzieć to, z czem przyszedł — nie wiedział od czego zacząć, czuł bowiem, że cokolwiek powie, będzie to jednocześnie zuchwałem i śmiesznem.

Walczak podsunął gościowi papierosy.

— Proszę, niech pan zapali i wypowie, o co panu chodzi. Widzę, że pan ma na końcu języka jakieś słowa... No, niechże pan wali prosto z mostu, bez długich namysłów! Co się stało?...

Przyjacielski, poufały ton tych słów ośmielił Michnika. Nie namyślał się już dłużej, zaczął:

— Panie Kazimierzu, mnie bardzo przykro, że ja muszę trudzić pana mojemi osobistemi sprawami, ale doprawdy muszę... Ja chciałem pana prosić, aby pan kuzynowi swojej żony powiedział... Ja nie pozwolę na to, żeby on pannę Józię bałamucił! — wykrzyknął nagle podniesionym głosem. — Jabym mu to już sam dawno dobitnie powiedział, tylko, że nie chciałem wszczynać w domu państwa awantury!

Michnik przeraził się własnej zuchwałości. Co będzie, jeżeli teraz Walczak zapyta go, jakiem prawem występuje z podobnemi pretensyami, a następnie za drzwi wyrzuci?

W takim razie straci nietylko przyjaźń zacnych ludzi, ale i możność widywania Józi!

Walczak drgnął żywo. Podniósł głowę i utkwił swoje rozumne, piękne oczy w twarzy gościa.

— Cieszy mnie to, że pan pierwszy o tem zaczął. — rzekł po chwili — Ja już dawno pragnąłem pomówić z panem szczerze w tej kwestyi, ale nie śmiałem wdzierać się przemocą do pańskiego zaufania. Teraz powiem, co o tem wszystkiem myślę. Przedewszystkiem, jeżeli chodzi o kuzyna mej żony, to jestem przekonany, że ani Józia w nim się nie kocha, ani też on nie zajął się nią poważnie... Oni bawią się tylko w głupią grę towarzyską, zwaną pospolicie flirtem... Ja zaś nie mogę zabronić gościom, aby się bałamucili nawzajem, jeżeli im to przyjemność sprawia... Bo chyba do tego czasu przekonał się już pan, że panna Józia kokietować umie i lubi...

Michnik milczał zawstydzony i zmieszany. Rozumiał, że Walczak ma słuszność, ale głośno przyznać tego nie chciał. Wzdrygał się przed tem, by oskarżyć Józię o rozmyślną, wyrafinowaną kokieteryę.

Zapewnienie, że Różycki nie zakochał się, uspokoiło go trochę, choć nie zupełnie. Jakoś wierzyć mu się nie chciało, aby można było być tak blizko Józi, patrzyć codziennie w jej oczy i nie zakochać się!

— Chyba, że kocha inną. — pomyślał.

— Nie pytam pana — ciągnął dalej Walczak — czy pan jest już narzeczonym Józi, bo wiem, że gdyby tak było, nie do mnie, ale do niej wprost pan by się zwrócił... Nie wątpię jednak, że pan zamierza się z nią ożenić.. Proszę bardzo, niech mi pan powie otwarcie. Chcę z panem pomówić, jak człowiek szczery, życzliwy, jak przyjaciel... Pan mi tego za złe nie weźmie, prawda?

— Alez ja nie mam bynajmniej zamiaru ukrywać się... Gdybym mógł pannę Józię nazwać moją, to byłoby to dla mnie... Oświadczę się w najbliższym czasie! — dokończył stanowczym tonem

— A dlaczego pan tego nie zrobił dotychczas? — zapytał nagle Kazimierz.

— Bo... — i Michnik zająknął się.

— Pozwoli pan, że dokończę. Dlatego, że Józia nie pozwalała na to i zręcznie omijała każdą sposobność. Kazała panu milczeć wtedy, kiedy najsilniej pragnął pan mówić. Czy nie tak?

Michnik wbił wzrok w swój nieszczęsny kapelusz, który nietylko obracał na wszystkie strony, ale giął go i miętosił.

— Może po części to prawda — odrzekł z widoczną przykrością — ale jest to zupełnie zrozumiałe... Panna Józia zna mnie jeszcze tak mało, nie miała czasu i sposobności, by nabrać do mnie zaufania... Trudno więc wymagać, ażeby...

Na ustach Walczaka pojawił się sceptyczny uśmiech, który nie uszedł uwagi jego towarzysza.

— Niechże mnie pan nie ma za skończonego głupca! — zawołał żywo Michnik — Ja przecież wiem i rozumiem, że Józia, że panna Józia... Ale mam nadzieję, że moje uczucie zjedna ją z czasem dla mnie, że ona zechce zostać moją żoną.

— Panie — dodał nagle jakimś błagalnym szeptem — niech mi pan tej nadziei nie odbiera, bo ja **tem tylko teraz żyję... Widzi pan, w mojem życiu kobiety małą odgrywały dotychczas, prawie żadną** rolę... Te, które znałem, to ani wspominać o nich nie warto... Józia rozbłysła mi jak gwiazda, a ja wiem, że do gwiazd droga trudna i daleka...

Zapanowało milczenie. Z głosu Michnika, z jego oczu płonących bił taki bezmiar miłości, tej, co jak siła fatalna i niszcząca niespodzianie człowieka napada i ujarzmia, że Walczakowi zamierały na ustach chłodne, rozsądne słowa krytyki.

Kazimierz postanowił jednak spróbować raz jeszcze, czy nie uda mu się rozdmuchać znowu w Michniku praktycznego rozumowania.

— Przypuśćmy — zaczął — że spełnią się marzenia pańskie i Józia zdecyduje się zostać pańską żoną.. Czy zastanowił się pan jednak nad tem, że ona, chociaż jeszcze bardzo młoda, ma już jednak wyrobione przyzwyczajenia, upodobania, które przełamać będzie jej trudno, a może nie chciałaby nawet... Józia wzrosła w innem zupełnie środowisku, z natury jest płochą, błyskotliwą, a do tego tak była chowana, że jaknajmniej nadaje się na żonę dla nauczyciela wiejskiego. Niech pan powie sam, czy wyobraża pan sobie Józię jako skrzętną gospodynię, cichą, skromną pracownicę, która pracą swych rąk i mrówczym trudem pomaga mężowi dźwigać ciężar żmudnych obowiązków... Może przez kilka tygodni bawiłaby się nową dla siebie rolą, ale wkrótce znudziłoby ją to i zapragnęłaby się wyrwać z ram szarych, jednostajnych... I co wtedy?

— Zdam egzamin wydziałowy, postaram się o posadę w Krakowie, lub jakiem innem większem mieście... Będę dorabiał prywatnemi lecyami... Nie będzie jej brakowało niczego...

Walczak spojrzał zdumiony.

— Co ja słyszę?! Pan porzuciłby wieś?!... Ależ to niepodobna! Przecież tyle razy rozmawialiśmy o tem, i wiem, jak głęboko tkwi pan sercem na wsi... Chłopi pana kochają i pan ich... Na każdym kroku znać pożytek pańskiej pracy... I pan zdecydowałby się to wszystko rzucić?!

— Dla niej — odszepnął młody nauczyciel.

— Ależ to znaczy: zwichnąć sobie zupełnie życie!

— Jeżeli ona nie zostanie moją — odparł głucho Michnik — to życie moje tyle będzie warte, co łachman zdarty i bezużyteczny...

Walczak powstał nagle z fotelu, oparł się ręką o biurko i bystro spojrzał gościowi w oczy.

— Panie Władysławie! Ja żonę moją kochałem i kocham szalenie, gdyby jednak zażądała odemnie, abym zszedł z wytkniętej drogi, abym odstąpił celu mego, nie zgodziłbym się!

Michnik wzruszył ramionami.

— Ależ panna Józia niczego odemnie nie żąda!... Ach, gdyby zażądać chciała!... To ja sam gotów jestem uczynić wszystko, co będzie trzeba...

— Panie Władysławie! Ależ to szaleństwo istne, to panu szczęścia nie przyniesie! Niech pan stara się otrząsnąć, niech pan wyjedzie! Niech pan się zajmie jaką pracą, która...

Walczak przerwał, bo Michnik spojrzał na niego wzrokiem człowieka, któremu prawią o lekarstwach na ból głowy, dalekich i niedostępnych, podczas gdy jemu nieznośny ból rozsadzał skronie.

— Panie Kazimierzu, niech pan nie próbuje mi perswadować, bo to na próżno!... Może ja oszalałem, ale to już stało się!... Teraz mam tylko jeden cel... jedno pragnienie!... Przed losem swoim nikt nie ujdzie!...

— Tak, ma pan racyę! Przed losem swoim nikt nie ujdzie i każdy jest kowalem własnego szczęścia lub nieszczęścia — odparł Walczak w zadumie.

— — — — — — — — — — — —

Lekko sunęła łódź unosząc Józię i Ludwika. Promienie słońca igrały po powierzchni stawu, tworząc w tej cichej, stojącej wodzie koliska tęczowych barw. Wokół była cisza, spokój, pogoda. Józia coraz powolniej, jakby półsennie, uderzała wiosłami o wodę. Na twarzy dziewczyny rozlał się wyraz jakiegoś tęsknego rozmarzenia. Oczy jej zapatrzyły się gdzieś w dal przed siebie i spoglądały, nie widząc nic oprócz obrazów własnej wyobraźni.

Usta rozchyliły się, jak płatki przepysznie rozkwitłego, purpurowego kwiatu. Józia zapomniała o swojej zalotności, o żartach, dąsach i przekomarzaniach, umilkła i zadumała się.

Z tem rozmarzeniem i z dumaniem było jej dziwnie pięknie. Śliczna, wiośniana twarz nabierała głębszego wyrazu i zyskiwała czar łagodności i słodyczy.

Różycki widział ją tak cichą i spokojną po raz pierwszy. Podobała mu się teraz bardzo, a próżność i zarozumiałość szeptała do ucha miłe przypuszczenia.

Ludwik sądził, że to jego obecność działa na Józię. Zdawało mu się, że to pod jego wpływem i urokiem dziewczyna żywa, jak iskra i figlarna, jak chochlik, **zmienia się w łagodne**, ciche, rozmarzone **stworzenie**.

W turkusowych oczach czytał miłosną zadumę, widział, że usta rozchylają się jakiemś tęsknem pragnieniem, a nie wątpił, że pragnienie to tylko ku niemu zwracać się może...

— Panno Józiu, budzę panią — o czem pani myśli? — przerwał nagle milczenie Ludwik z uśmiechem i spojrzeniem zwycięzcy.

Józia leniwie podniosła głowę i spojrzała na niego jakby jakoś z daleka.

— O, ja teraz myślą byłam daleko, daleko — odpowiedziała wbrew zwyczajowi swemu bardzo po woli — aż w Pradze... Tak się cisną wspomnienia... Pamiętam, był także piękny, pogodny, słoneczny dzień... Jeden pan, który był mi bardzo, bardzo drogi, namówił mnie na przejażdżkę łódką po Wełtawie... Mówił, że umie wiosłować, ale pokazało się, że pojęcia o tem nie ma... Więc ja wzięłam wiosła, a on siedział naprzeciw mnie, tak jak pan teraz... Tylko wokół nas nie było tak cicho i spokojnie... Mijaliśmy łódki i parowce, z brzegów dochodził nas gwar i hałas miasta... Ale mnie nie obchodziło wtedy nic poza nami, poza naszą łódką... I tak było dobrze, spokojnie, szczęśliwie... Mój Boże! Dzisiaj mi się zdaje, że to już tak dawno i daleko... I myślę sobie, czy szczęście już nigdy nie wróci?...

Ludwik odniósł wrażenie, jak gdyby Józia prysnęła na niego nagle zimną wodą ze stawu.

Nieoczekiwane wyznanie i naiwna szczerość nie zjednały go wcale i nie rozbroiły. Mężczyzną wstrząsnęła głucha złość za doznany zawód.

Więc ta dziewczyna śmie w chwili, kiedy on raczy się nią żywiej interesować, zapominać wprost o jego obecności... Tęsknotą ulata gdzieś do kogo innego!...

Ludwik zapragnął Józi zrobić przykrość, dokuczyć jej.

— W takim razie przepraszam bardzo panią, że przerwałem tak piękne marzenia... Gdybym wiedział, nigdy nie ośmieliłbym się... Proszę, niech pani marzy dalej i chociaż wyobraźnią wynagradza sobie braki rzeczywistości... Bo jak wnoszę z własnych słów pani, ów piękny wełtawski sen prześnił się...

Ostry ton i szydercze słowa podcięły Józię, jak szpicrutą.

Wrażliwa dusza dziewczęca, brutalnie urażona, zamknęła się odrazu, jak czuły kwiat mimozy, który pod dotknięciem kurczy się i kuli.

Józia była zanadto sprytna, aby się nie domyśleć odrazu, o co Rażyckiemu chodziło.

— A pan myślał, że co? — rzuciła zuchwale — pewnie się panu zdawało, że ja o panu marzę...

— Choćby mi się tak zdawało, miałem do tego pewne podstawy! — odpowiedział równie wyzywającym tonem.

Józia nie zmieszała się wcale. Spojrzała na Rażyckiego z pogardliwą ironią.

— Podstawy?! Ciekawam jakie?... To chyba panu niewiele potrzeba. Stanowczo zanadto pan zarozumiały!...

— Dziękuję za naukę!

— Och! Proszę bardzo!... Nic nie szkodzi!... Przyda się to panu, zobaczy pan...

Spojrzeli na siebie prawie wrogo. Oboje zrozumieli, że mylili się w swoich płytkich rachubach. Wątła nić, która ich łączyła, zerwała się.

Józia energiczniej poczęła wiosłować, nucąc jednocześnie jakąś wesołą piosenkę, chociaż wcale nie była w dobrym humorze.

— Może wrócimy już — zaproponowała nie patrząc wcale na Ludwika — czas na podwieczorek... Anielka nie lubi, jeżeli się ktoś spóźnia...

— Jak pani sobie życzy...

W Ludwiku zaszła po krótkiej chwili uniesienia reakcya. Zrozumiał całą nizką brzydotę swego postępowania i zawstydził się.

— Postąpiłem jak brutal i jak głupiec skończony, jak smarkacz... Doprawdy nie wart jestem nazywać się dorosłym mężczyzną... Słusznie dziewczyna drwiła sobie ze mnie...

Czuł, że powinien Józię przeprosić, ale upór nie pozwalał mu na to.

Łódź przybiła do brzegu. Józia i Ludwik wysiedli i w milczeniu skierowali się ku dworowi.

Rażycki był zmieszany, zły na siebie i na Józię zarazem, która straciła dla niego cały urok.

Józia również chmurna i nadąsana nie odzywała się wcale.

Nagle twarz dziewczyny rozjaśniła się wesołym, przyjaznym uśmiechem. Nie oglądając się na swego towarzysza, pobiegła naprzód na powitanie Michnika, który schodził właśnie ze stopni ganku.

— Dzień dobry, panie Władysławie!... Już dwa dni pana nie widziałam... To brzydko, że pan się tak ukrywa! — szczebiotała Józia — I teraz, kiedy ja wracam do domu, pan chce uciekać!... O! na to nie pozwolę! Raz, dwa, trzy!... W lewo zwrot!...

Józia nie grała komedyi. W tej chwili poczuła do Michnika szczerą życzliwość, w przeciwstawieniu do Rażyckiego wydał się jej człowiekiem bardzo subtelnym i niezwykle sympatycznym.

— On przynajmniej nie chce się mną bawić!... Kocha mnie, dobry jest i delikatny! — zadecydowała dziewczyna w myśli.

A Michnik stał przed nią z twarzą jasną, promienną, rozsłonecznioną, drżący ze szczęścia.

— Jakiż ja byłem głupi i śmieszny z moją zazdrością, z mojemi podejrzeniami! Ależ ona wcale nie dba o niego! — powtarzał sobie Władysław, idąc za Józią — O! moja dziewczyna słodka, jedyna, dobra, kochana!...

I zdawało mu się, że szczęście jego jest już blizko, że wystarczy wyciągnąć ręce, aby błękitnego ptaka uchwycić.

— — — — — — — — — — — — — —

— Panno Józiu — rzekł wieczorem Ludwik Rażycki do Józi, kiedy całe towarzystwo po kolacyi zeszło do ogrodu — przepraszam panią za moje dzisiejsze zachowanie się, za te brutalne, idyotyczne słowa... Proszę, niech mi pani to wybaczy. I teraz już nie ironicznie, ale szczerze dziękuję pani za naukę. Postaram się na przyszłość z niej skorzystać.

— Ja się nie gniewam — odpowiedziała dziewczyna — bo chociaż zrobił mi pan przykrość, ale ja po części zasłużyłam na nią. Ale wie pan, coś panu zaproponuję. Bądźmy przyjaciółmi, ale takimi szczerymi, bez żadnych ubocznych myśli i dajmy spokój temu głupiemu zawracaniu głowy, bo to licha warte.

— Zgoda! — zawołał wesoło Ludwik — Tak będzie daleko lepiej. Anielka przestanie kręcić główką z niezadowoleniem.

— Pan Kazimierz nie będzie miał powodów do irytacyi.

— A pan Michnik do rozpaczy! — dokończył Ludwik.

Józia na to nic nie odpowiedziała, tylko roześmiała się.

ROZDZIAŁ X.

Urywki z pamiętnika Kornelii Witowtówny.

15. lipca.

Wyjechał! „Tak nagle! Dokąd?!... Dlaczego?!... Bez jednego słowa pożegnania... O głupia! Po stokroć głupia! Więc ja jednak łudziłam się — więc jednak zdawało mi się, że on dba o mnie cokolwiek więcej, niż o każdego obojętnego przechodnia, którego w tłumie mimowolnie potrąci!... Oj! Widać jeszcze za mało mnie życie nauczyło! Snać częściej mi trzeba patrzeć w lustro, choć nic pięknego, ni ciekawego tam nie zobaczę!...

Czyż on mi nie powtarzał tylekroć, że tylko ładne, ponętne kobiety istnieją dla niego, raz nawet z prawdziwie męską brutalnością powiedział:

— Nie rozumiem, po co Pan Bóg brzydkie kobiety stwarza?

I ja także nie rozumiem po co? Chyba po to, aby prawem kontrastu potęgowały się wdzięki tamtych szczęśliwszych... Mógł jednak wspomnieć o mnie choćby jako o przyjacielu, koledze, boć kolegą starałam się być zawsze dla niego... Ale czy jemu brakuje kolegów i przyjaciół? Na co jam mu potrzebna? Na co ja komukolwiek jestem potrzebna?

18 lipca.

Popełniłam głupstwo!... straszne, niewybaczalne głupstwo!... Poszłam do pani Rażyckiej, aby zapytać, dokąd on wyjechał...

Chciałam wiedzieć, w której stronie myślą go szukać... Chciałam napisać do niego... przemocą wcisnąć się do jego pamięci...

Pani Rażycka, jak zwykle, przyjęła mnie serdecznie, tak, jak ona tylko umie, może nawet serdeczniej niż zwykle...

Mówiłyśmy długo to o tem, to o owem... Nareszcie ośmieliłam się zapytać:

— Pan Ludwik wyjechał tak niespodzianie? Dokąd to? Czy do wód może?...

— Nie! Do krewnych! — odpowiedziała mi krótko pani Rażycka.

Mówiła niby zupełnie zwykłym, swobodnym tonem, ale spojrzała na mnie tak dziwnie jakoś, bardzo, bardzo łagodnie, ale jakby z politowaniem.

Krew mi uderzyła do głowy... czułam, że przestaję się uśmiechać...

Zrozumiałam. Ta kobieta mnie przejrzała i nie chce mi powiedzieć jego adresu, bo lituje się nademną... chce przerwać niedorzeczną miłość, chce mi odebrać złudzenia, których nie miałam, chce wyrwać nadzieje, których nie żywiłam...

Może umyślnie wysłała go stąd... Ja wiem, że ona jest dobra, ale poczułam do niej taką nienawiść, że gdybym mogła... Co jej to szkodziło, że ja chciałam choć patrzyć na niego...

Opanowałam się... musiałam się opanować... i dalej rozmawiałam o wojnie, o nowinach brukowych, o kłopotach aprowizacyjnych, o wszystkiem, co mnie w tej chwili nic nie obchodziło...

Nie pójdę już tam nigdy...

Znowu pękła jedna nić łącząca mnie z ludźmi... A kiedy pękną wszystkie...

22. lipca.

Gdybym mogła, to leżałabym teraz całemi dniami bezczynnie na łóżku i myślałabym o nim... i rozkoszowałabym się męką własnego serca... Ale tego robić nie mogę, bo jeść mimo wszystko trzeba... Muszę pracować i może to lepiej... Pracuję jednak jak automat, bez odrobiny zapału. A zewsząd słyszę i sama rozumiem, że w takich czasach, jak obecne nie dość pracować na kawałek chleba, ale trzeba ludziom dać coś z siebie...

Jabym dać chciała, ale cóż dam? Ja sama żebrak... Do pracy społecznej trzeba przystąpić z miłością, bo inaczej cała robota w proch się rozsypie... A ja... ja nie mam tej miłości... nie mam współczucia... Ja zazdroszczę dziewczynie, która opłakuje narzeczonego, poległego na wojnie... ja zazdroszczę żonie, co drży o męża... ja zazdroszczę matce, która syna na wojnę wysyła... z zawiścią spoglądam na kobiety, wystające godzinami przed sklepami, aby dla dzieci swoich zdobyć pożywienie... One wszystkie bogatsze odemnie...

Marna ze mnie dusza... niska... A jednak ja mogłabym być inną... Tylko, mój Boże, dlaczego ja jestem tak bardzo nieszczęśliwa?...

26. lipca.

Dostałam dziś list z domu, a właściwie od matki... bo dom rodzinny od dawna nie jest już moim domem... List przepełniony radością... Marylka wychodzi za mąż... Nareszcie!... We wsi naszej mieli kwatery legioniści... No i stało się, jak bywało... Panienka z białego dworku i żołnierzyk... Miłość nagła... płomienna... Postanowiono wziąć ślub wojenny... Teraz już pewnie Marylka jest mężatką. To dobrze, to bardzo dobrze... Będzie o jedną zwichniętą egzystencyę mniej, jedno życie rozkwitnie pełnią miłości i szczęścia, choćby na chwilę, na krótką chwilę...

Powinnabym się cieszyć, ale nie cieszę się... Nie będę kłamała sama przed sobą... Obojętne mi to... Tak mi jest, jakbym wcale nie miała rodziny... I oni nie tęsknią za mną... Nigdy nawet nie piszą, że pragną zobaczyć mnie... Natomiast ze wszystkich listów wyczuwam zadowolenie z tego, że ich nic nie kosztuję...

Naturalnie, byłam zawsze piątem kołem u wozu rodzinnego... zmartwieniem rodziców, którzy pojąć nie mogli, skąd się u nich „takie brzydkie dziecko" wzięło!...

Sama jestem... z tem się pogodzić muszę!...

27. lipca.

Potworne myśli mnie nawiedzają... Zaczynam marzyć, jakby to dobrze było, aby on tak zeszpeciał, tak zniedołężniał, czy okaleczał, żeby go nikt prócz mnie już kochać nie chciał... Jabym wówczas była przy nim... jabym mu oddała każdą chwilę mego życia...

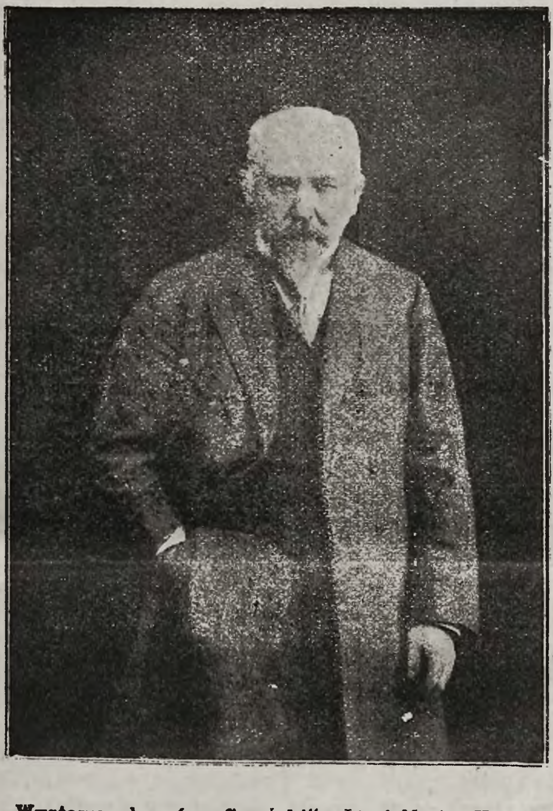
Nie... nie!... Jaka ja podła!... Ta miłość moja to najstraszniejszy egoizm!... Jak to dobrze, że myśl nic nie może!...

2. sierpnia.

Gdzie on?! Gdzie on?! Skąd, jak się dowiedzieć? Przez pierwszy tydzień ze drżeniem oczekiwałam listonosza... Gdzieś tam kołatała się taka szalona, niedorzeczna nadzieja, że przypomni sobie, że napisze... Naturalnie... nie napisał i nie napisze... Przestałam się już spodziewać... Ale czem tu żyć?... I jak tu żyć?...

I ta ciągła dręcząca, straszna, bezrozumna zazdrość, że on tam gdzieś jest z jakąś kobietą!... Tak napewno jest znowu kobieta, która mu się podoba!... O, jak jej nienawidzę!... Jak ja jej nienawidzę!...

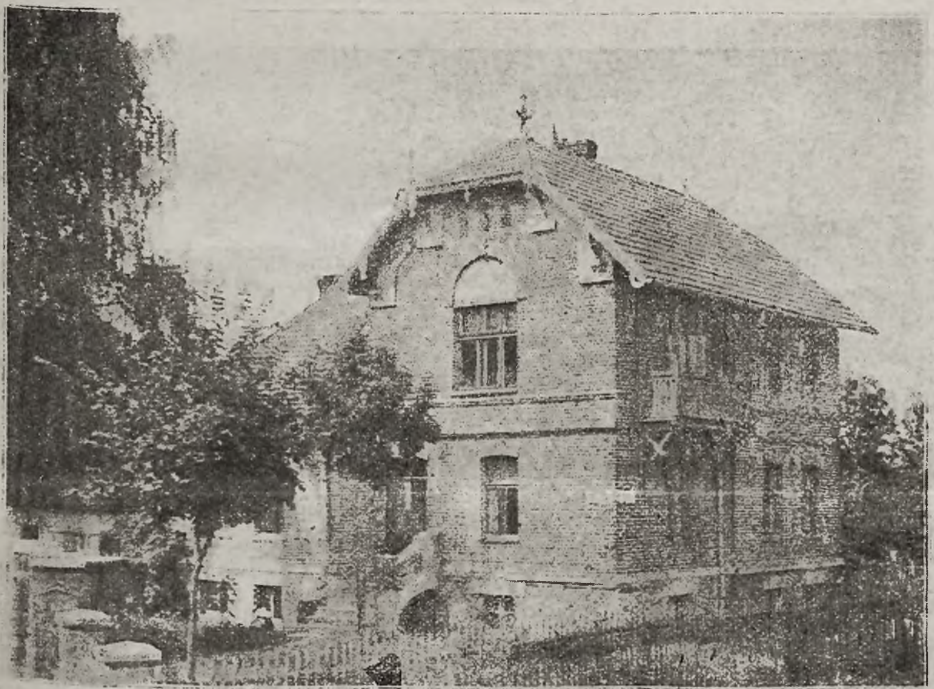
(Dalszy ciąg nastąpi)



Wystawa obrazów „Czwórki": Józef Męcina-Krzesz.



Wystawa obrazów „Czwórki": Stanisław Radziejowski.



Dom „Rodziny sierocej" w Krakowie.



Ratujmy dzieci: Dzieci pozostające pod opieką „Rodziny sierocej".

Ratujmy dzieci.

Straszne jest żniwo wojny na ziemiach polskich. W dwuletnich walkach, które pożogą i zniszczeniem przeszły przez kraj nasz, legły w gruzach wsie i miasta, a tysiące rodzin, wyrzuconych z swych siedzib, poszło na tułaczkę.

Jej ofiarami padają zwłaszcza dzieci — ta nadzieja przyszłych pokoleń. To też obowiązkiem społeczeństwa jest przedewszystkiem ratowanie ginącej dziatwy, wśród której tyle sierót namnożyła obecna wojna. W miarę sił i środków spełnia tę misyę między innemi Stowarzyszenie „Rodzina Sieroca", które założyło i utrzymuje dom dla sierót wojennych na Woli Justowskiej... Ale jest to zaledwie kropla w morzu nędzy, zalewającem dziś Polskę. Słusznie też „Rodzina Sieroca" wzywa do szerszej ofiarności publicznej w wydanej odezwie, w której między innemi czytamy:

„Wśród najbiedniejszych, najbiedniejszemi są dzieci sieroty. One same nie mogą sobie dopomódz. Cała o nie troska spoczywa w rękach ludzi. Nędza zabija ich ciało i duszę. Narody, posunięte wysoko w kulturze, dbają przedewszystkiem o dziecko. One wiedzą, że dziecko, to obywatel przyszłości, to przyszły obrońca granic Ojczyzny, to spadkobierca krwawej pracy swych ojców. To też narody, nawet pod względem ludności wielkie, przygarniają do siebie, jak tylko mogą, dzieci innych narodów, nie żałując grosza i pracy na ich wychowanie, aby się tylko ilościowo i jakościowo wzmocnić. Naród, któryby zapomniał o swojem dziecku, już za życia swego wykopałby sobie grób. Dlatego wszystko dać trzeba, jak dobra matka od ust sobie odjąć, aby każde dziecko ratować. A jeśli komu drogim nad wszelki skarb winno być dziecko, to nam, Polakom. Jak lwica, gdy jej wydzierają młode, Polak na wszystko winien się ważyć w obronie i w ratunku dziecka. A oto tylu nieprzyjaciół czyha na nasze dzieci, na ich ciało, na ich ducha. Nędza i głód, nagość i bezdomność, groza rozszalałego potwora wojny, co się przewala swem straszliwem cielskiem po polskich sadybach, podały sobie ręce, aby zniszczyć dziecko polskie.



Wystawa obrazów „Czwórki": Antoni Piotrowski.

W szlachetnej ufności zwraca się dziś znowu do społeczeństwa Rodzina Sieroca o pomoc dla swoich wojennych sierót. Już od roku wychowuje Rodzina Sieroca w Domu na Woli Justowskiej dwadzieścia trzy sierót. Obecnie otwiera nowy Dom, pod wezwaniem Św. Józefa, na Zwierzyńcu, w którym, dla braku dostatecznych funduszów, może najwyżej dać schronienie dwudziestu sierotom. Obecnie czeka już na ten przytułek chłopców sierót czternaście. Odżywić ich ciała napełnić ich ducha miłością Boga i Ojczyzny, dać społeczeństwu uczciwych i pożytecznych ludzi, oto zadanie, jakie chce spełnić Rodzina Sieroca. Z drobnych ofiar powstają wielkie dzieła. O tę pomoc prosi Rodzina Sieroca. Każdy grosz będzie z wdzięcznością przyjęty, każda ofiara w ubraniu, czy pożywieniu, będzie okryciem nagich i nakarmieniem głodnych. Każdą ofiarę Bóg i Ojczyzna sowicie nagrodzi.

Prosimy ofiary nadsyłać pod adresem: „Biuro Rodziny Sierocej" Kraków, Szewska 5, I. p."



Wystawa obrazów „Czwórki": Ludwik Stasiak.



Z frontów bojowych: Zburzone okopy francuskie.

Z frontów bojowych.

Na propozycye pokojowe państw centralnych koalicya usiłowała odpowiedzieć energiczniejszą akcyą na froncie zachodnim. Propozycye pokojowe ogłoszono dnia 12 grudnia, a już trzy dni później Francuzi, z niebywałą nawet u nich furyą, atakowali niemieckie linie na wschód od Mozy, aż do doliny Voevre. Udało im się wtedy zająć grzbiet góry Talvur na północ od Louvemont i fermy Chambrette, a na południe od Bezonvaux, 16. grudnia zaś zająć nawet samo Bezonvaux i na wschód od tej wsi położony las Caurieres. Ale już tego samego dnia silnie dały się odczuć nieprzyjacielowi kontrataki na



Kurs narciarski w Zakopanem: Pod schroniskiem Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarskiego na Kalatówkach.

wzgórzu Pieprzowem, poczem dnia 17. grudnia Francuzi napowrót utracili fermę Chambrette, w której dopiero następnego dnia stanęli ostatecznie silną nogą. Próba natomiast wtargnięcia do lasu Les Fosses pozostała bezowocną.

I na tem skończyło się. Wielki francuski plan przerwania frontu przeciwnika okazał się niemożliwym do wykonania. Wynik całego przedsięwzięcia był ten, że okopy niemieckie przesunęły się o trzy kilometry ku północy. Że przytem nie obeszło się bez ciężkich strat po stronie atakującej, to pewna.

Tak samo i nowe wysiłki wojsk francusko-angielskich nad Sommą, pozostały bez żadnego rezultatu.

Na froncie rosyjskim, od Morza Północnego po Karpaty, wszczynała się w ostatnich dniach tu i ówdzie nieznaczna stosunkowo strzelanina i kanonada, zwłaszcza między Dźwiną a Wilią, nad Stochodem i na południe od Zborowa. Te drobne epizody nie zmieniły jednak ogólnego obrazu, zasnuwającego się coraz bardziej w opary sennej, zimowej kampanii.

Jak energicznie natomiast rozwijała się w ostatnich dniach akcya na widowni od Karpat do Morza Czarnego! Dzięki swym zwycięskim pochodom sprzymierzeni osiągnęli najwyższe możliwe skrócenie frontu, mianowicie o mniej więcej 900 kilometrów. Ile przez to sił da się zaoszczędzić, o ile łatwiej, a z większym jeszcze, niż dotąd, naciskiem, przeprowadzać będzie można dalsze operacye.

Na froncie macedońskim, w okolicy jeziora Ochridy walczą obecnie także wojska austro-węgierskie. Poczyniły one w ostatnich czasach znaczne postępy w terenie. Sprzymierzeni ustawili się tutaj zwartą masą w półkole, opasując Sarraila jakby żelaznym pierścieniem.

Szkoła ogrodnicza dla inwalidów wojennych w Tarnowie.

Staraniem krajowej Komisyi opieki nad inwalidami został urządzony w Tarnowie kurs ogrodnictwa, który trwał od 9. marca do połowy grudnia 1916 roku.

Uczestnicy kursu mieli możność zapoznania się



Z frontów bojowych: Placówka austryacka przed zasiekami rosyjskiemi.



Kurs narciarski w Zakopanem: Grupa uczestników kursu przed wymarszem.

teoretycznie z warzywnictwem gruntowem i inspektowem, oraz kwieciarstwem szklarnianem pod kierunkiem dyrektora W. M ciaszka, jak również z uprawą roli, sadownictwem i kwieciarstwem gruntowem pod kierunkiem prof. A Kurowskiego. Praktyczne zajęcia wykonywali kursiści pod kierunkiem instruktorów: R. Krausa i jednorocznego ochotnika Fr. Mierniczaka, oraz pp. R. Chadalskiego, K. Ligięzy i W. Inglota.

W ciągu roku przechodzili kursiści wszystkie działy ogrodnictwa, tak, że żadne roboty w tych działach nie są im obce. Oprócz nauki uprawy roli, sadownictwa, warzywnictwa i kwieciarstwa zaprowadził komendant kursu, nadpor. Niksch, naukę historyi polskiej, austryackiej, geografii, korespondencyi i rachunkowości handlowej. Odbyto też dwie wycieczki naukowe, jedną do ogrodów księcia Sanguszków, drugą do Krakowa, gdzie zwiedzono zakłady ogrodnicze i pamiątki narodowe. Kurs dziesięciomiesięczny dał wynik bardzo dobry o czem mogła się przekonać komisya egzaminacyjna, złożona oprócz ciała nauczycielskiego, z komendanta miasta Tarnowa, majora W źniakowskiego, repr. Starostwa komisarza Ł dzińskiego, radcy W działu krajowego Jasińskiego, burmistrza miasta Tarnowa dr. T rtila i kapelana wojskowego ks. Bilczewskiego. U oczystem rozdaniem świadectw i o darowaniem kursistów garniturem narzędzi ogrodniczych zakończono kurs w dniu 16. grudnia 1916 roku. — Tak więc nasz zniszczony kraj zyskał czterdziestu sześciu nowych pracowników, którzy z pożytkiem będą mogli uprawiać własną i cudzą niwę.



Wspólne ćwiczenia.

Kurs narciarski w Zakopanem:



Wesoła przygoda.

Kurs narciarski w Zakopanem.

W czasie świąt Bożego Narodzenia odbył się w Zakopanem, staraniem Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarzy, pięciodniowy kurs narciarski, prowadzony przez inż. A. Bobkowskiego.

Kurs obejmował tak początkujących, jak i wprawnych narciarzy w liczbie dwudziestu ośmiu osób, w tem dziewięć pań. Ćwiczono zrazu pod Lipkami, potem na Gubałówce i Kalatówkach metodą norweską.

Codziennie wieczorem schodzili się uczestnicy kursu na wesołe narciarskie pogawędki, których najmilszą atrakcyą był przepiękny śpiew p. Ludwiki Jaworzyńskiej, również uczestniczki kursu.

Telefon na wojnie.

Wszystkie najnowsze wynalazki techniczne znalazły w obecnej wojnie szerokie zastosowanie, między nimi i telefon, który służy do porozumiewania się na odległość pomiędzy poszczególnymi oddziałami wojska i z główną komendą, przy jego pomocy informowaną o postępach operacyi wojennych.

W tym celu przy każdym mniejszym, czy większym oddziale są fachowo wykształceni telefoniści,



Z frontów bojowych: Zburzony przez artyleryę dom na froncie zachodnim.



Szkoła ogrodnicza dla inwalidów wojennych w Tarnowie: Kierownicy i uczniowie szkoły.

mogący każdej chwili założyć prowizoryczne przewody, każdej też chwili je usunąć, by nie dostały się w ręce nieprzyjaciół, gdy przyjdzie się cofać. Telefonicznie połączone są też z komendami najdalej ku nieprzyjacielowi wysunięte posterunki obserwacyjne.

Doświadczenie wykazało, że telefon oddaje stronom wojującym nadzwyczajne usługi, ze względu na łatwość przenoszenia prowizorycznych stacyi polowych z miejsca na miejsce, składają się bowiem jedynie z samego aparatu do mówienia, skrzynki



Kurs narciarski w Zakopanem: Najmłodsi uczestnicy kursu („pisklęta narciarskie").

z baterią elektryczną i szpulki, na której nawinięty jest nadzwyczaj cienki drucik, chroniony na zewnątrz jedwabną osłoną, od wpływów atmosferycznych. Drut taki zupełnie niespostrzeżenie można przeprowadzić wśród gałęzi drzew lub po ziemi. Rozwija się go bardzo szybko i również szybko zwija.

Aby armia posiadała należycie wyszkolony personal, mogący obsługiwać polowe telefony, urządzono już w czasie pokojowym specyalne kursy, nie zapomina się o tem i w czasie wojny. W miarę, jak szeregi armii uzupełnia się świeżemi siłami, zastępuje się też ubytki i w oddziałach telefonicznych, a odpowiedniego materyału dostarczają praktyczne kursy, które odbywają się i w głębi kraju, dokąd nie doszedł huragan wojenny i w polu, bezpośrednio poza frontem.

Ilustracya, zamieszczona w niniejszym numerze przedstawia jeden z wielu kursów telefonicznych w polu, prowadzony przez Lwowianina, sierżanta p. Maksymiliana Weintrauba, odznaczonego srebrnym krzyżem zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności.

Podwójne odznaczenie.

Służba urzędnika policyjnego, nawet w państwie konstytucyjnem, jest ciężką i odpowiedzialną, a nieraz i bardzo nieprzyjemną. Aby godnie odpowiedzieć zadaniu i połączyć piękne z nadobnem, to jest zyskać uznanie władzy przełożonej i publiczności, trzeba mieć wiele hartu ducha, dobrej woli i poczucia obywatelskiego i nie zrażać się przeciwnościami, jakie napotyka się w czasie urzędowania na każdym prawie kroku.

Kto tym warunkom odpowiedział, dorósł do swego zadania i może być pewnym, że ogół go należycie oceni i uzna jego ciężką i owocną pracę.

Jednym z tego rodzaju funkcyonaryuszy policyjnych jest kierownik ekspozytury na krakowskim dworcu kolejowym, komisarz p. Józef Warczewski, znany i ceniony jako gorliwy w spełnianiu obowiązków urzędnik i obywatel, spieszący każdemu chętnie z radą i pomocą. Szczególniej w obecnym wojennym czasie dał p. Warczewski tyle dowodów swej energii i służbowej gorliwości, a zarazem ży-



Podwójne odznaczenie: Komisarz Józef Warczewski, kierownik Ekspozytury Dyrekcyi policyi na krakowskim dworcu kolejowym.

czliwości dla ogółu, z którym się ciągle stykał, iż władza przełożona, uznając jego pracę i zasługi, odznaczyła go złotym krzyżem zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności i honorową odznaką Czerwonego Krzyża z dekoracyą wojenną, krakowska zaś publiczność przez długie lata zachowa jego nazwisko we wdzięcznej pamięci, jako prawdziwy wzór urzędnika obywatela.



Telefon na wojnie: Uczestnicy kursu telefonicznego, urządzonego w polu pod kierownictwem sierżanta p. Maksymiliana Weintrauba.

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

10

Ten zaś odwrócił się do niego plecami i szedł wolno wzdłuż bulwaru. Po jakimś czasie, nie spuszczając wzroku z młodego człowieka, przeszedł na drugą stronę ulicy.

Nieznajomy zdawał się namyślać, w którą ma się udać stronę. Uczynił kilka szybkich kroków w kierunku ulicy Pigalle i bulwaru, gdzie znajdowało się mieszkanie zamordowanego pana Rovere, poczem zatrzymał się nagle i wykręcił w stronę przeciwną. Powracał ku „kawiarni Szkieletów". przeszedł i krokiem szybkim zmierzał ku placowi Clichy. Przed „Moulin-Rouge" zatrzymał się na chwilę, jakgdyby wahając się z wejściem, stał dłuższy czas znowu badając gorączkowo ulicę, poczem bezmyślne, ogłupiałe spojrzenie utkwił w wielkiej czerwonej latarni, chwiejącej się przed lokalem. Bernardet śledzący go z drugiej strony ulicy widział doskonale nerwowe, niespokojne jego ruchy i twarz pobladłą.

Chwilowa ta apatya nie trwała jednak długo. Ruszył nagle z miejsca, jak człowiek, który pewny jest swojego planu i przecinając bulwar, zmierzał boczną ulicą do centrum miasta, pozostawiając daleko za sobą dzielnicę Montmartre, nocne, gwarne kawiarnie i dom zamieszkany niegdyś przez pana Rovere. Szedł coraz szybszym krokiem i nagle na rogu ulicy Fontaine natknął się na małego człowieka, którego przedtem nie widział przed sobą i który jakgdyby niespodziewanie wyrósł z pod ziemi.. Człowiek ten zataczając się, upadł prawie na niego, mrucząc pod nosem:

— A to idyota!

Nieznajomy ruchem ręki chciał odsunąć pijaka i przejść dalej, ale mały człowieczek stał przed nim i wymachując zamaszyście rękami, mruczał dalej zachrypłym głosem:

— A to mi się podoba... do kroćset... ulica... ulica jest dla każdego przecież... Co to?... Nie wolno mi może po niej chodzić?...

Nieznajomy spojrzał na napastnika i brwi zmarszczył groźnie. Ale dobroduszny wygląd pijaka z nasuniętym na twarz kapeluszem uspokoił go trochę.

To był przecież najwidoczniej tylko pijak i to najniższej kategoryi. Chwiał się na nogach, zataczał a głos miał ochrypły i zduszony.

— Proszę mi pozwolić przejść! — odezwał się stanowczo nieznajomy, odsuwając ręką natręta.

— Ja... ja... nie przeszkadzam wcale... Ulica jest dla każdego powiadam.

— Jeżeli dla każdego, to i dla mnie! — zawołał gniewnie młody człowiek — Dosyć tych głupstw! Proszę ustąpić!

— Ho! Ho! Nie tak ostro kochanku! — odparł pijak, którego ta odpowiedź podrażniła widocznie — Powiadasz, że jest i dla ciebie... no... zobaczymy... tylko królowi wolno rozkazywać, pamiętaj!

Nagłym ruchem, tracąc równowagę, zwalił się na nieznajomego i objął go rękami szukając oparcia.

— Ulica ani twoja... ani moja... — bełkotał niezrozumiale — Nie wolno ci się tak rządzić bratku.

Gniewnem szarpnięciem młody człowiek chciał się uwolnić z tego niespodziewanego uścisku. Rozparł szeroko ramiona i rzucił się naprzód. Napór był tak gwałtowny, że pijak naprawdę teraz zwalił się na ziemię, zakląwszy głośno. Kapelusz spadł mu z głowy i potoczył się na brzeg chodnika.

Ale natychmiast jednym zręcznym skokiem stanął na nogach jak człowiek zupełnie przytomny i rzucił się za oddalającym się szybko przeciwnikiem. Niespodziewanie pochwycił go z tyłu za kołnierz ubrania, a drugą ręką ujął jego nogę, uniemożliwiając mu dalszą swobodę ruchów.

— Hej! Przyjacielu! — zawołał groźnie — Czy sądzisz, że ci tak łatwo odejść pozwolę. Mylisz się bardzo! Musimy się teraz rozprawić! No! Nie szarp się, bo to ci się na nic nie przyda!

Wściekłe przekleństwo wybiegło z ust młodego człowieka. Światło latarni padało wprost na twarz mniemanego pijaka i w jednej chwili rozpoznał w nim sąsiada z „Kawiarni Szkieletów", tego, który zagadnął go w tak dziwny i niepokojący sposób, wspominając dwukrotnie nazwisko „Rovere".

Twarz młodego człowieka przybrała groźny i straszny wyraz, chciał rzucić się w bok, ale w tej chwili para rąk silnych obezwładniła go. Policyant Dagonin i jego towarzysz przychodzili z pomocą Bernardetowi. Tenże zaś, uprzedzając ruch ręki nieznajomego ku prawej kieszeni płaszcza, gdzie znajdować się musiał rewolwer lub nóż, pochwycił go gwałtownie za dłoń, wykręcając mu ją tak silnie, że aż słychać było trzeszczenie kości.

— Hola, mój kochany! — zawołał Bernardet — Nie sądź, że się damy zarznąć, jak barany!

Nieznajomy był muskularny i dobrze zbudowany, ale policyant Dagonin nie należał do najsłabszych i posiadał dosyć znaczną siłę. Związała się krótka, zacięta walka. Młody człowiek, po jakimś czasie, przestał się szamotać, widząc bezskuteczność swoich usiłowań i ogłupiały, zdumiony zapytał, zwracając się do Bernardeta:

— Co to ma znaczyć? Chcecie mnie aresztować?

— Jak widzisz, mój zuchu! — odpowiedział ajent z uśmiechem.

— Ale dla jakiego powodu? Ja muszę wiedzieć!

— Przedewszystkiem uderzyłeś mnie i powaliłeś na ziemię — odparł ostro ajent, któremu w tej chwili chłopak jakiś podawał kapelusz zabłocony i zmięty, mówiąc:

— To pański kapelusz, panie Bernardet!

Ajent uśmiechnął się z zadowoleniem. Znano go w tej dzielnicy i wiedziano, do czego był zdolny.

Rzeczywiście chodziło tylko o zwykłą sprzeczkę uliczną. Nieznajomy pomyślał, że przecież za to nie mogą go długo trzymać pod kluczem. Jedna rzecz niepokoiła go tylko. Kim był i czego chciał od niego ten pijak napastujący go, który teraz wyglądał na zupełnie trzeźwego człowieka? I w jakim celu tam, w „Kawiarni Szkieletów", chciał tak uporczywie zawiązać z nim rozmowę?

Pomyślał jednak, że lepiej będzie dla niego, jak się dobrowolnie podda tej konieczności i dał się spokojnie już prowadzić, nie żądając dokładniejszego wyjaśnienia.

Szli prędko wzdłuż domów i ulic, opustoszałych już prawie. Tylko gdzieniegdzie światła, bijące od kawiarń i winiarń nocnych, oświetlały niedostatecznie mrok zapadający. Nieliczni przechodnie przesuwali się w milczeniu obok tej czwórki, nie domyślając się wcale, że to ajenci policyjni, prowadzący kogoś do aresztu.

Nareszcie przed jednym domem zatrzymali się. Barwna, trójkolorowa chorągiew chwiała się, poruszana wiatrem, nad dużą latarnią, rzucającą czerwonawe błyski.

Ktoś drzwi otworzył i nieznajomy znalazł się w sali wąskiej i dusznej, gdzie pod oknami na ławkach drzemało kilku policyantów. Kilku z nich przy świetle gazowej lampki zabawiało się paleniem papierosów i czytaniem zabrudzonych dzienników.

Bernadet zbliżył się do swojego więźnia, stojącego pod strażą Dagonina i jego towarzysza i gładząc melancholijnym ruchem zniszczony swój kapelusz, odezwał się stanowczym głosem:

— Proszę mi podać swoje imię i nazwisko, miejsce zamieszkania i zajęcie.

Młody człowiek zrozumiał teraz, że chodziło tu o rzecz większej wagi, i że mniemany gość z „Kawiarni Szkieletów" wprowadził go w ułożoną już przedtem zasadzkę.

Błysk wściekłości i gniewu rozgorzał w jego oczach, zacisnął wargi i milczał, jakgdyby nie słyszał zapytania.

— Imię, nazwisko i miejsce zamieszkania? — powtórzył ostrzejszym już głosem Bernardet.

— Nazwisko moje? — odezwał się w końcu nieznajomy — A cóż moje nazwisko obchodzić pana może?

— Może i bardzo.

— Jestem uczciwym człowiekiem.

— To się pokaże.

— Dlaczego mnie pan aresztować kazał? Co to ma znaczyć?

— Proszę o nazwisko.

Nieznajomy brwi zmarszczył i zawahał się.

— No, proszę! — nalegał Bernardet.

— Nazywam się Prades! — wymówił niechętnie młody człowiek.

— Prades? — wymówił wolno Bernardet, patrząc badawczo w oczy swojemu więźniowi.

— Słyszy pan przecież! Ciekawym, czy to pana dużo objaśnił?

— Prades! — powtórzył policyant Dagonin, zapisując do książki leżącej przed nim. — A imię?

— Karol, jeżeli chcecie!

— Oh! — zawołał Bernardet — My tu nic nie chcemy oprócz prawdy. Trzeba, żeby to pan zrozumiał.

— A więc mówię prawdę! — odrzekł ostro młody człowiek, patrząc wyzywająco na ajenta.

— Proszę o dalsze objaśnienia! — indagował Bernardet, nie tracąc nic ze zwykłego spokoju.

— Jakie jeszcze?

— Gdzie pan mieszka obecnie?

— Na ulicy Prissoniere.

— Numer?

— Hotel „pod Tygrysem".

— Od jakiego czasu przebywa pan w Paryżu?

— Od miesiąca.

— A przedtem? Jakie było miejsce stałego zamieszkania pana?

— Sydney.

— Czem się pan tam zajmował?

— Byłem wspólnikiem domu handlowego.

— Dlaczego pan to zajęcie opuścił?

— Przybyłem do Paryża szukać szczęścia!

— Ho! ho! — mruknął Bernardet. Ryzykowne postanowienie!...

Badanie przeciągnęło się jeszcze czas jakiś. Bernardet zręcznemi pytaniami naprowadził nieznajomego na zeznanie, że przebywał również w Buenos-Ayres. Zeznanie to ajent zanotował sobie dobrze w pamięci. Pan Rovere bowiem jakiś czas tam przebywał w charakterze konsula. Jednakże Bernardet nie podniósł tej kwestyi, bo nie miałoby to obecnie celu najmniejszego. Prawdziwe badanie Karola Pradesa zostanie przeprowadzone dopiero przez komisarza policyi pana Ginory'ego. Wyłowił zręcznie zwierzynę, to dosyć, a reszta należała już do jego przełożonych. W każdym razie mógł być zadowolonym ze siebie. Był przekonanym najmocniej, że człowiek podający się za Karola Pradesa, o ile to nazwisko nie było zmyślone, odegrał ważną rolę w sprawie z ulicy Clichy.

Kiedy oznajmiono Pradesowi, po skończeniu prowizorycznego badania, że nie zostanie jeszcze wypuszczony na wolność, lecz zatrzymany w aresztach, aż do dalszego rozporządzenia władz, wpadł w gniew szalony.

— To niemożliwe! — wołał trzęsąc się z oburzenia. — To niemożliwe! To jest bezprawie! Co pan mi ma do zarzucenia?

Za zwykłą sprzeczkę na ulicy, do której jeszcze byłem przez pana sprowokowany, chcecie, żebym przepędził noc w towarzystwie pijaków i rzezimieszków ostatnich?! Jestem uczciwym człowiekiem i nie zrobiłem nic złego. Pan niema prawa mnie tu zatrzymywać!

— Dosyć już — odrzekł surowym głosem Bernardet. — Jeżeli postępowanie moje wydaje się panu niesprawiedliwe, może pan jutro rano wnieść skargę przed moimi zwierzchnikami!

— Ależ ja tu zostać nie chcę! Nie zostanę!

— Napróżno się pan oburza. Dzisiaj pan już stąd nie wyjdzie. Trzeba się z losem pogodzić. Krzykami nie polepszy pan swojej sytuacyi. A teraz pozwoli pan, że przeszukamy kieszenie jego ubrania. Dagonin, pomóż mi, mój przyjacielu!

— Co? co? — krzyknął z wściekłością Prades. — Przeszukanie osobiste! Dlaczego? Jakiem prawem?

— Spokojnie, spokojnie! Powtarzam raz jeszcze, nie pogarszaj pan sprawy swojej niedorzecznym oporem. No, dalej Dagonin!

Prades już nie reagował, ale widać było, jak szalonym wysiłkiem woli panował nad sobą, by nie wybuchnąć. Pozwolił sobie spokojnie przeszukać wszystkie kieszenie. W jednej z nich znaleziono portfel i długi nóż hiszpański.

Bernardet, odbierając go z rąk towarzysza, uśmiechnął się. Był pewnym, że coś podobnego tam się znajdzie. Portfel nie zawierał nic szczególnego. Rachunki codzienne z hotelu „pod Tygrysem", koperty z listów, bez żadnych znaczków pocztowych, na nazwisko Karola Pradesa, handlowca i dwa banknoty po sto franków każdy. Więcej nic.

Bernardet długą chwilę przyglądał się kopertom listów.

— Jakimże to sposobem zapytał w końcu — listy te są niefrankowane? To niemożliwe, aby je pan odebrał przez pocztę. Chyba pan sam te koperty zaadresował do siebie.

Karol Prades zmieszał się i zawahał.

— To nie są listy — odparł po krótkim czasie zuchwale, patrząc na ajenta. To są poprostu adresy, których używam w zastępstwie biletów wizytowych, których nie miałem jeszcze czasu dotąd nabyć.

Bernardet pokręcił głową i spojrzał na niego uważnie.

— Ale te adresy są wypisane pana ręką? — zapytał, patrząc badawczo w twarz młodego człowieka.

— Tak.

— Doskonale. Dziękuję panu.

Obejrzał je raz jeszcze dokładniej, poczem pożegnawszy się z towarzyszami, skierował się ku wyjściu. Kiedy już drzwi otwierał, odwrócił się nagle i rzekł, zwracając się z dobrodusznym uśmiechem do Pradesa:

— Życzę panu dobrej nocy.

Ironiczne te słowa wywołały piorunujące wrażenie.

Prades wyprężył się z całych sił i jednym skokiem chciał dosięgnąć ajenta, ale kilka par rąk chwyciło go w przelocie i unieruchomiło na miejscu, a w parę sekund później został brutalnie odrzucony w głąb pokoju, podczas kiedy ajent, gwiżdżąc coś pod nosem, swobodnym krokiem wychodził z gmachu policyi.

Dobry humor nie opuszczał go przez całą drogę. Szedł żywym krokiem wzdłuż ciemnych ulic, gwiżdżąc coraz to nowe skoczne melodye, a ludzie przechodzący obok niego, nigdyby się w tym małym, wesołym człowieczku nie domyślili sławnego Bernardeta, który był postrachem oddalonych dzielnic miasta.

Wyglądał na poczciwego burżuja, wracającego w podniesionym trochę stanie z wesołej jakiejś zabawy. Dopiero podszedłszy o jakie sto kroków pod dom swój, ginący w zmroku ogrodu, przycichł nagle.

— Śpią wszystkie. — pomyślał z rozrzewnieniem — Nie trzeba ich budzić. Niechże one chociaż mają noce spokojne, skoro ja, jak ten człowiek bezdomny, włóczyć się muszę nocą po ulicach miasta. Ale przyznać muszę, że dzisiejsza włóczęga moja udała mi się na całej linii. Kiep jestem, jeżeli mnie jutro rano pan Ginory nie pochwali za tak dobrą robotę.

X.

Pan Ginory nie był całkiem zadowolony z siebie po wydaniu wyroku aresztowania na Jerzego Montin. Odczuwał pewne wątpliwości i niepokój sumienia.

— A jeżeli się pomyliłem i zasądziłem człowieka niewinnego. — myślał, przechadzając się po swoim gabinecie.

Posiadał on wielką praktykę i rutynę w trudnym swoim zawodzie. Wiedział, że najwinniejsi częstokroć najlepiej umieją doskonale symulować niewinność i posługują się najczęściej uporczywem milczeniem. Na wszelkie zadawane im pytania odpowiadają, że związani są przysięgą i nie odstąpią od powziętego postanowienia. Honor i prawość każą im milczeć. Ale do kogo odnosi się ta złożona przysięga, tego wyjawić nigdy nie chcą. Rozwiązanie sprawy z takimi ludźmi jest bardzo ciężkie do przeprowadzenia. Bronią się milczeniem, nie mogąc znaleźć innego środka ratowania się i zadają tem wiele trudu sędziom zmuszonym wydawać wyrok. Pan Ginory z praktyki swojej znał dobrze tę kategoryę winnych i nie przywykł do łudzenia się w kierunku ich niewinności. Ale w sprawie „Rovere" zachodziła ta okoliczność, iż stwierdzono, że oskarżony Jerzy Montin był rzeczywiście najbliższym człowiekiem zamordowanego i przyjacielem z lat dziecinnych.

Któż mógł więc zaprzeczyć, że Montin, tak blizko wmieszany w prywatne życie byłego konsula, nie odebrał kiedyś od niego jakiejś nieznanej nikomu tajemnicy i zaprzysiągł przyjacielowi nie wyjawić jej nigdy?

Co to za tajemnica jednak być mogła? Sędzia śledczy, tak, jak spowiednik, wiedzieć powinien wszystko i tam, gdzie chodzi o życie człowieka, nie mogą być dla niego rzeczy ukryte lub niejasne. Albo też Jerzy Montin nie miał nic ważnego do wyjaśnienia i doskonale odgrywał uplanowaną po przednio komedyę, chcąc ukryć swoją winę.

— Bo przecież — rozumował pan Ginory — jeżeli przez jakieś zwierzenie mnie uczynione, mógł zrzucić z siebie cały ciężar oskarżenia i odzyskać wolność, to byłby zdecydował się mówić przekonawszy się, że dalsze milczenie jest dla niego zgubne i niebezpieczne.

Pan Ginory nie mógł pojąć, ażeby człowiek całkiem niewinny tak uporczywie i dobrowolnie szkodził sobie i nie usiłował się bronić. Odkrycie portretu pana Rovere w sklepiku pani Colard musiało koniecznie nadać inny bieg całej sprawie i zmienić kierunek śledztwa. Aresztowanie zaś Karola Pradesa przynosiło nowy element niespodziewany i ważny i zaciążyło bardzo nad przekonaniami już ustalonemi sędziego śledczego.

Nazajutrz po aresztowaniu, przyprowadzono Pradesa do gabinetu pana Ginory'ego. Przedtem jeszcze musiał przejść przez długie i skrupulatne badanie komisarza policyjnego.

Bernardet oczywiście towarzyszył mu i wygląd jego poważny i skupiony zdradzał dostatecznie, jak ważną rolę odgrywa w całej sprawie. Powaga ta jednak nie odbierała mu dobrego wyglądu. Był świeży i wypoczęty, jak gdyby noc całą przepędził najspokojniej w łóżku.

Na Karolu Pradesie zaś noc spędzona w areszcie pozostawiła znaki widoczne. Niepokój i lęk musiały daleko odpędzić sen od jego powiek. Bledszy był jeszcze niż dnia poprzedniego i cała jego postawa przybrała jakiś obłędny i dziki wyraz. Przyprowadzony do gabinetu sędziego, trzepotał powiekami, jak człowiek nagle wyprowadzony z ciemności do światła i ledwo mógł się utrzymać na nogach. Powtórzył bez widocznego wahania zeznania swoje, uczynione w nocy w obecności Bernardeta i ajentów, ale głos jego donośny nie miał już w sobie dawnych, metalicznych dźwięków. Zduszony był i matowy, a twarz nieugięta, nerwowo wyrażała upór i cynizm.

W gabinecie pana Ginory'ego znajdowała się również pani Colard, którą zawezwano poprzednio. Od pierwszego wejrzenia i bez najmniejszego wahania poznała w Pradesie młodego człowieka, o szarym, dużym kapeluszu, od którego odkupiła portret pendzla Pawła Baudry.

Prades jednak oburzył się na to twierdzenie i zawołał gniewnie:

— To kłamstwo! Nie rozumiem właściwie, o co panom chodzi! Ja nie znam tej kobiety i widzę ją po raz pierwszy.

— Czy i ten portret ogląda pan po raz pierwszy? — zapytał spokojnie pan Ginory, podsuwając mu pod oczy obraz.

— Co to jest? Co to ma znaczyć?

— Nie zna pan tego portretu?

— Nie.

— To portret pana Rovere — odpowiedział sędzia. — Zamordowanego pana Rovere na bulwarze Clichy.

— A cóż to może mieć wspólnego ze mną — żachnął się Prades, wyzywająco podnosząc głowę.

Pan Ginory przypatrzył się mu uważnie.

— Pan Rovere był niegdyś konsulem w Buenos-Ayres — wyrzekł powoli.

— I cóż z tego?

— To, że pan wczoraj wspomniał również o tej miejscowości, w czasie prowizorycznego badania w areszcie przy ulicy Rochefoucauld.

— Nie rozumiem — odparł Prades, bawiąc się brzegami swojego dużego kapelusza. — Pan Rovere? Buenos-Ayres? Cóż to za zagadka?

— Żadna zagadka — odpowiedział pan Ginory. — Chcę się tylko dowiedzieć od pana, czy w czasie swojej bytności w tej miejscowości nie poznał pan pana Rovere?

— Co za myśl — zaprzeczył żywo młody człowiek. — Nie byłem nigdy w Ameryce południowej. Przybywam z Sydney.

— Przepraszam pana — wtrącił się grzecznie milczący dotąd Bernardet. — Proszę mi powierzyć na chwilę swój kapelusz.

Mówiąc to, ajent stanowczym i spokojnym ruchem wyciągnął rękę i ujął za brzegi szary, oryginalny kapelusz Pradesa. Został wynagrodzony za to wściekłem spojrzeniem.

Pan Ginory zrozumiał odrazu intencyę Bernardeta i uśmiechając się, szepnął nieznacznie:

— Ten dowód jest najważniejszy nieprawdaż?

Bernardet uważnie obejrzał kapelusz i podając go sędziemu, zwrócił mu uwagę na napis wydrukowany na podszewce.

— Gordon Smitson and Co. Berner Street — London — przeczytał głośno pan Ginory. — Był pan również w Londynie? — zwrócił się do młodego człowieka.

— Ten kapelusz kupiony został przezemnie w Sydney — odpowiedział Prades.

Wobec jednak stanowczych i dokładnych zeznań pani Colard, która już teraz nie obawiała się uchodzić za denuncyantkę, młody człowiek powoli zatracał swoją zuchwałość i pewność siebie. Powtarzał ciągle, ciągle słabszym głosem:

Pani się myli! Ja nigdy z panią nie rozmawiałem, ani pani nie widziałem! Bierze mnie pani za kogo innego.

— Ja biorę pana za kogo innego? — zawołała z oburzeniem handlarka. — Ależ tak pewna jestem, że to pan mi sprzedał obraz, jak tego, że żyję na świecie!

— Nie rozumiem pani oporu — odrzekł Prades nerwowo. — Dlaczego chce mnie pani wmieszać w jakąś historyę zupełnie dla mnie niezrozumiałą?

— Oh, wielkie nieba! Ten człowiek zarzuca mi kłamstwo! — żaliła się pani Colard, zwracając się do sędziego. — Wiedzże pan o tem, że nawet pod samą gilotyną twierdzić będę, że to pan mi odsprzedał ten nieszczęsny portret!

— Panie sędzio, proszę mi wierzyć! To on, to on niezawodnie! Ja się nie mylę!

Pierwsze badanie Pradesa nie przyniosło zresztą żadnego wybitnego rezultatu.

Po jakimś czasie pan Ginory zamyślił się głęboko. Doszedł tylko do jednego wniosku: Jeżeli rzeczywiście portret pana Rovere był w posiadaniu Pradesa, to niezawodnie ten był wspólnikiem Jerzego Montin. Należało więc obydwóch skonfrontować ze sobą, a wtedy rzecz cała może się wyjaśnić. Pan Ginory myślał, czyby natychmiast spotkania tego nie zarządzić, zanim jeszcze Prades, tak jak Montin, nie zostanie odprowadzony do więzienia w Maras.

Pan Ginory zawołał Bernardeta i przyciszonym głosem przedstawił mu swój plan. Prades musiał coś dosłyszeć z tej krótkiej rozmowy, bo nagle drgnął całem ciałem i lęk rozpaczliwy wykrzywił twarz jego pobladłą. Cofnął się szybko, jakgdyby ujrzał jakie widmo i wybełkotał z trudem, wpatrując się w sędziego rozszerzonemi od zgrozy oczyma:

— Więc... pan nie chce... mi wrócić wolności!... Chcecie mnie tu zatrzymać?

Sędzia dostrzegł zmianę jego twarzy, ale nie odpowiedział ani słowem. Stanowczym, rozkazującym głosem wydał rozkaz, aby przyprowadzono bezzwłocznie Jerzego Montin z więzienia i strzeżono bacznie Pradesa.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kilka dni pobytu w murach zimnych i wilgotnych uczyniły już z Jerzego Montin człowieka pozbawionego sił i chorego. Wysmukła i dumna jego postawa znikła gdzieś zupełnie. Czarne jego oczy straciły dawny blask i siłę, a głowa pochyliła się nisko na piersi, jakgdyby zwalczona strasznym jakimś ciężarem. Nie był to już dawny, wyniosły i pewny siebie Jerzy Montin, przyjaciel pana Rovere, lecz człowiek, na którym śmiertelne oskarżenie pozostawiło już ślady niezatarte.

Na widok jednak dozorcy, wchodzącego do jego celi, wyprostał się ostatkiem sił i energii i z dumnym spokojem wysłuchał jego rozkazu. Jakaś nagła reakcya wstąpiła w niego, nadając mu na chwilę dawną sprężystość ruchów i zuchwałość spojrzenia. Szedł bez słowa wzdłuż wąskich, ciemnych korytarzów, unosząc wysoko głowę, jak człowiek gotujący się do nowej walki.

Na widok karetki więziennej, stojącej przy wyjściu, i mającej go zawieść do pałacu sprawiedliwości, silne drżenie opanowało go i oczy zabłysły tłumionym gniewem. Opanował się jednak szybko, wsiadł bez oporu i wóz ruszył, podskakując brutalnie na nierównościach bruku, uwożąc go ku nieznanemu przeznaczeniu.

Przez całą drogę nie przerwał milczenia, nie zwrócił się ani jednem słowem do dwóch dozorców towarzyszących mu.

Myśl, że znajduje się tak niedaleko ruchliwego życia innych ludzi, że widzi ulice, po których niedawno jeszcze przechadzał się wolny jak ptak, a tak dalekim być musi od tego wszystkiego, co go otaczało, wywoływało w nim podniecenie nerwowe i gniew głuchy.

Cofnął się nagłym ruchem w głąb karetki. Powietrze nawet, które wdychał tak, jak inni, ale przez grubą, silną kratę żelazną, drażniło go niewymownie. Przecież tą samą karetką przewożono tak często zbrodniarzy ostatniego rzędu i zdawało mu się, że czuje ich gorączkowy oddech i słyszy przekleństwa i groźby, rozlegające się jeszcze w tem pudle zaopatrzonem kratami i wydającem jakąś dziwną woń zgnilizny.

Wrażenie to było tak silne, że w pewnej chwili uczuł zawrót głowy i osłabiony, blady, usunął się bezwładnie na siedzenie.

— A co tam znowu? — zamruczał niezbyt grzecznie jeden z dozorców, pochylając się nad nim. Wyglądasz tak, jakbyś się upił, mój przyjacielu.

Ale już Montin prostował się i przybrał zimny, obojętny wyraz twarzy.

— Nic mi nie jest — rzucił krótko, przesuwając ręką po zwilgoconem czole.

Nareszcie karetka stanęła przed gmachem sądowym. Jerzy Montin rozpoznał schody i korytarze, którymi po raz pierwszy szedł, udając się do gabinetu sędziego. Wówczas był jeszcze wolnym człowiekiem! Wezwano go jako świadka! Kiedy teraz iść musi jako oskarżony, posłyszeć może wyrok swój ostatni. Zuchwały i ironiczny uśmiech przebiegł po jego twarzy, nadając jej dawny charakter.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zgon seniora malarzy lwowskich.

We Lwowie zmarł w tych dniach jeden z najwybitniejszych reprezentantów malarstwa polskiego: Seweryn Obst. W szerokich kołach lwowskich bardzo popularny, powszechnym otoczony szacunkiem, był Seweryn Obst jedną z tych rzadkich postaci, które przy bliższem poznaniu pozostawiają niezatarte wspomnienie artystycznej, ale zarazem ściśle ludzkiej, wypięknionej duszy. Był on bowiem zarówno pięknym i subtelnym w swych artystycznych dziełach malarskich, jak i w codziennem z ludźmi pożyciu. To też zejściu Jego towarzyszy powszechny a szczery żal.

Urodzony w roku 1847 we wsi Berezów, w której mieszkał ojciec jego, leśniczy kameralny, uczęszczał Obst zrazu do szkół w Sniatynie, później w Stanisławowie, poczem poświęcił się malarstwu, do którego od dziecka czuł wielką skłonność.

Uczęszczając do Akademii Sztuk pięknych w Wiedniu, gdzie kolegował z Grottgerem, Grocholskim, Leopolskim — wybił się rychło swym talentem również na czoło ówczesnego polskiego malarstwa, równocześnie zaś, jako znakomity rysownik, pracował kolejno w kilku pismach illustrowanych polskich i wiedeńskich.

Powróciwszy do kraju, poświęcił się Obst ściśle malarstwu rodzimemu, stwarzając kolejno cenne pejzaże i dzieła, wchodzące w zakres malarstwa rodzajowego. On pierwszy, na tle pejzażu karpackiego, wprowadził sympatyczne postacie ludu huculskiego.

Przed dwoma laty urządzono we Lwowie jubileuszową wystawę jego dzieł malarskich, która była zarazem tryumfem artystycznym Obsta — jako malarza. Muzea krajowe posiadają cały szereg jego dzieł malarskich.

Cześć pamięci zasłużonego artysty i zacnego człowieka! *J. Ry.—*

Druga scena miejska w Krakowie.

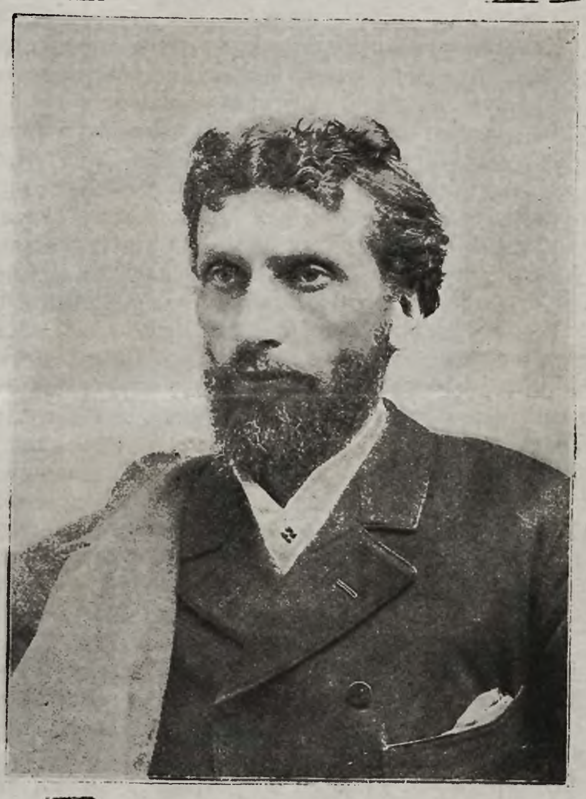
Rzecz charakterystyczna, że teatr Ludowy w Krakowie dopiero w czasie wojny zdobył trwałe podstawy bytu. Prowadzony początkowo przez dyr. Pilarskiego pod artystycznem kierownictwem dra Konczyńskiego zyskiwał stale na frekwencyi, aż wreszcie miasto zdecydowało się przejąć to prywatne dotychczas przedsiębiorstwo na swoją własność. Odtąd scena ludowa w Krakowie weszła na tory stałego rozwoju. Oba teatry miejskie w Krakowie, imienia Juliusza Słowackiego i Ludowy, zyskały idealnego dyrektora i kierownika w osobie p. Grzymały Siedleckiego, który co do teatru Ludowego miał zadanie o tyle ułatwione, iż w p. Tadeuszu Pilarskim znalazł nietylko zdolnego reżysera i swego zastępcę, ale i wytrawnego kierownika, który od początku wojny był główną sprężyną teatru Ludowego. Dziś teatr Ludowy stał się w Krakowie naprawdę drugą, popularną sceną, która cieszy się coraz większem uznaniem ludności miejscowej. Jest to niewątpliwie zasługa zarówno kierownictwa, jak i całego zespołu artystycznego sceny ludowej.



Druga scena miejska w Krakowie: Tadeusz Pilarski.

Odbudowa zniszczonego Królestwa Polskiego.

Królestwo Polskie za czasów rządów rosyjskich nie posiadało zwłaszcza w okręgach pogranicznych, prawie żadnych środków komunikacyjnych w nowoczesnem tego słowa znaczeniu. Nie mówiąc już o wołyńskich i poleskich drogach, na których, jak rok długi, trzeba się poprostu topić w błocie, w samem centrum Królestwa stosunki były nadzwyczaj opłakane, a nikt się o to nie postarał, by złemu zaradzić. To było także przyczyną, iż ofenzywa mocarstw centralnych postępować mogła tylko bardzo powoli i na każdym kroku napotykała na trudności, prawie nie do przezwyciężenia.



Zgon seniora malarzy lwowskich: S. p. Seweryn Obst.

Obecnie, gdy rozpoczęły się na zajętym terenie kulturalne rządy, postarano się przedewszystkiem o usunięcie złego, które dotąd tak się we znaki dawało. Z wielką energią przystąpiono do budowy dróg nowych i poprawy starych. Do pracy użyto miejscowej ludności, której cofające się wojska rosyjskie w głąb kraju uprowadzić nie zdołały. Pracuje ona pod okiem austryackich inżynierów, a błogie skutki usiłowań już dzisiaj są widoczne. Sieć wygodnych, należycie zbudowanych dróg i mostów rośnie niemal z dniem każdym i przyczyni się dodatnio do podniesienia ekonomicznego stanu kraju, dotąd przez Moskali bardzo po macoszemu traktowanego.

Wystawa obrazów „Czwórki".

W Krakowie otwarto chwilowy wprawdzie, lecz zato interesujący przybytek sztuki — wystawę obrazów „Czwórki", mieszczącą się w obszernej sali w Rynku głównym (ulica Sienna l. 2). Do „Czwórki" tej należą znani zarówno w kraju, jak i zagranicą, artyści malarze: Józef Męcina-Krzesz, Antoni Piotrowski, Stanisław Radziejowski i Ludwik Stasiak, z których każdy ma za sobą ćwierćwiekową przeszło działalność malarską. Wystawa będzie zmienianą co dwa tygodnie, a na pierwszą seryę poszły dzieła, które cieszyły się ogromnem powodzeniem w Wiedniu, Monachium, Berlinie, Petersburgu i we Lwowie, a w znacznej swej większości nie były w Krakowie wystawione...

W bogatej i starannie dobranej kolekcyi dzieł zwraca uwagę na wystawie głośny cykl obrazów Krzesza „Ojcze nasz", przemawiający całą siłą talentu tego artysty, który, zdobywając laury poza granicami kraju, zbyt rzadko, niestety, wystawia swe prace w Krakowie. Antoni Piotrowski obok symbolicznej, porywającej grozą „Wojny" i „Ataku husaryi", wystawił szereg mniejszych, lecz niemniej cennych płócien, a Stanisław Radziejowski — liczne pejzaże, o pogodnym, lecz głębszym nastroju. Całości wystawy dopełniają barwne kwiaty i doskonałe portrety Ludwika Stasiaka.

Wśród obrazów „Czwórki" — na wystawie znajduje się w okrytych krepą ramach „Zorza wieczorna" — jeden z piękniejszych obrazów zmarłego niedawno, a jako artysta niedocenionego, ś. p. Adama Chmielowskiego (brata Alberta).

Nie ulega wątpliwości, że publiczność krakowska będzie tłumnie odwiedzać tę interesującą wystawę, składając w ten sposób hołd ćwierćwiekowej zasłudze artystów.



Druga scena miejska w Krakowie: Personal artystyczny Teatru Ludowego.

Do P. T. Czytelników!

Przed wybuchem wojny światowej w r. 1914 rozpoczęliśmy w „Nowościach illustrowanych" druk wybornej powieści znakomitego naszego pisarza, **A. Gruszeckiego**, p. t.

„Po ślubie".

Niestety, z powodów od nas niezależnych, druk jej zmuszeni byliśmy przerwać, obecnie też, gdy okazała się w wytwornem wydaniu książkowem, chcąc P. T. Prenumeratorom naszym ułatwić jej nabycie, weszliśmy z wydawcą w układ — na mocy którego Administracya „Nowości illustrowanych" sprzedawać będzie zgłaszającym się książkę p. t. **„Po ślubie" po zniżonej cenie 4 korony,** zamiast ceny księgarskiej **Kor. 5·20.** Na koszta poleconej przesyłki, gdyż tylko za takową przyjmuje Administracya odpowiedzialność, należy przesłać ponadto 70 halerzy.

Zamówienia na powieść **A. Gruszeckiego** kierować należy do **Administracyi „Nowości illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego 95.**

Kronika tygodniowa.

Według zapowiedzi, jaką ogłosiłem w poprzedniej kronice, w dzień Nowego Roku wybrałem się na wędrówkę okrężną po różnych znajomych i przyjaciołach politycznych, niestety, zawiodłem się srogo, gdyż większość nie wróciła jeszcze z Zakopanego, reszta zaś wyszła z domu i „nie wiadomo, kiedy wróci".

I ja z suchem gardłem i próżnym żołądkiem wróciłem też pod dach rodzinny, narzekając na zanik cnót obywatelskich w naszem społeczeństwie i zabrałem się do studyowania gratulacyi piśmiennych, jakie z różnych stron w Święta otrzymałem. O życzeniach, jakie mi złożyły różne wybitne osobistości polityczne, pisać nie będę, gdyż wielu gratulantów zastrzegło się z góry, by o nich nawet słowem nie wspominać, z pomiędzy tak zwanych prywatnych poruszę tylko list pani Petroneli Niedopytalskiej z Wiednia, która składa mi wprawdzie życzenia noworoczne w imieniu Prenumeratorek *Nowości illustrowanych*, ale równocześnie i beszta mnie, prosząc, bym na przyszłość zaniechał wstrętnego zwyczaju, odzywającego się jak zgrzyt niemiły w kronikach, to jest żartów na tle religijnem. Przyznać się muszę, że zarzut tego rodzaju był dla mnie niespodzianką. Nigdy w kronikach kwestyi religijnych nie poruszam, tembardziej unikam wszelkich żartów na tem tle, jako zupełnie nie na miejscu.

Zarzut spotkał mnie więc niesłusznie i dlatego żywię z tego powodu zupełnie słuszną urazę do pani Petroneli, aczkolwiek znać ją nie mam przyjemności.

Szanowna Interpelantka wyraża nadzieję, że przecież już raz będzie podana na łamach *Nowości illustrowanych* podobizna kronikarza wraz z Weronisią.

Niestety, to stać się nie może! Oboje jesteśmy nieprzyjaciółmi fotografii i jeśli kiedyś dajemy odbijać nasze cyferblaty, to tylko z koniecznej potrzeby, naprzykład do kart, zezwalających na pobyt w twierdzy, nigdy zaś nie chcieliśmy, nie chcemy i chcieć nie będziemy, by sobie w ten sposób wyrabiać reklamę. A może właśnie wówczas, gdy P. T. Czytelnicy stwierdzą na własne oczy, jak w rzeczywistości wygląda kronikarz, przestaliby się interesować jego pracami, a tego nie chciałbym. Wobec tego wybaczyć raczy pani Petronela, że obydwoje, to jest ja i moja lepsza połowa, pozostaniemy nadal w cieniu.

Stwierdzić muszę, iż gdyby spełniły się wszystkie życzenia, jakie w tym czasie otrzymałem, byłbym naiszczęśliwszym ze śmiertelników i kto wie, czy tem szczęściem, ze względu na me czułe serce, nie podzieliłbym się nawet z innymi.

Konkretniejsze życzenia, pod postacią podarunków, jak dotąd przynajmniej, nie nadeszły wcale, ale może to nawet i lepiej. Teraz w czasie transportu tak pocztą jak i kolejami dzieją się cudy, jak to stwierdził na sobie pewien krakowski obywatel. Otrzymał on od jednego ze swych znajomych w upominku rogacza i kilka zajęcy, choć właściwie nic nie otrzymał. Tamten wysłał, to jest faktem dokonanym, do tego przesyłka nie doszła, to jest także pewnem. Pytanie jednak, co się z tem stało?... Znawcy powiadają, że rogacz i zające musiały być w letargu, w czasie podróży ożyły i powróciły do miejsca stałego pobytu, nie mając pozwolenia na wjazd do twierdzy.

Jeśliby więc kto z P. T. Czytelników pragnął uczcić zasługi kronikarza takim samym dowodem uznania, niech raczy silnie związać mu rogi (zając owi, nie kronikarzowi!...), a przeszkodzi dezercyi.

Zupełnie taki sam cud stał się z mąką, którą jakiś kolejarz wysłał swemu znajomemu na Święta. Ponieważ mąki przesyłać nie wolno, zadeklarował ją jako gips. I ktoż opisze zdziwienie odbiorcy, gdy doręczono mu przesyłkę, w samej rzeczy gips zawierającą. Klął podobno jak szewc, ale to na nic się nie zdało.

Po załatwieniu się z listami noworocznymi, zabrałem się w braku innego zajęcia do układania ewentualnych warunków pokojowych. Wolno mi, jestem bowiem ściśle neutralny i nikt mi zarzucić nie może, bym chciał na tem zrobić jakiś interes. Zacząłem krajać mapę Europy i rozdzielać kawałki między walczących, przekonałem się przecież, że nie dam rady, dopóki koalicya nie puści wyraźnej pary. Powiedziała już, że nie chce pokoju, ale tego nałeżycie nie umotywowała, wobec czego nie wiem, czego się mam przy podziale terytoryów trzymać. Gdybym wiedział, iż obie strony, to jest koalicya i mocarstwa centralne zgodzą się na moje propozycye, ułożyłbym im preliminarya pokojowe, jak się patrzy. Czy się jednak zgodzą?... Bardzo wątpię!

Wobec tego powiedziałem sobie, że w politykę bawić się nie warto, dałem jej też spokój, zwłaszcza, że przy przeglądaniu dzienników politycznych natrafiłem na zupełnie neutralną wzmiankę o muzykalnym krecie, jaki się pojawił w również neutralnych Stanach Zjednoczonych.

Zwierz ów, podobny do naszego poczciwego kreta, czy nie, tego nie wiem, dlatego nazwany został muzykalnym, iż, wedle słów sprawozdawcy (prawdopodobnie artystycznego) z wiosną wywodzi żałosne trele, punktualnie po piętnastym maja. (nie wiem tylko jakiego stylu!) głos jego przypomina rozbity dzwonek, w późniejszym zaś czasie żałosne skargi. Starałem się dociec, czy to może mieć jakiś związek z obecną sytuacyą i rozwikłaniem kwestyi pokojowej, do żadnego przecież rezultatu nie doszedłem.

Wielkie znaczenie polityczne może mieć natomiast inny komunikat. Król Mikołaj Czarnogórski, bawiący, jak wiadomo, na chwilowym wypoczynku gdzieś pod Bordeaux we Francyi, korzystając ze sposobności, iż Francuzi wydali nową seryę marek wojennych czarnogórskich, postanowił zakupić większą ich ilość i rozpocząć niemi handel. To mi się nawet zaczyna podobać, iż głowa koronowana z braku innego zajęcia rozpoczyna tak popłatne przedsiębiorstwo. Francuzi mało dają, inne źródła dochodów wyschły, trzeba samemu myśleć o zasileniu swej kieszeni.

Obie te notatki wywarły na mnie bardzo głębokie wrażenie, nie tak przecież głębokie, jak nota prezydenta Wilsona na prasę w Norwegii, co wnoszę z dwu liter „g", umieszczonych na początku wyrazu „gębokie" (*Nowa Reforma*, z dnia 27 grudnia).

Do spraw, zostających w związku z obecną sytuacyą, zaliczyć należy i zamordowanie Rasputina, którego zgładzono ze świata po raz, nie wiem już, trzeci, czy czwarty, a on ciągle żyje, więc i teraz może się jeszcze odezwie i zabierze głos w sprawie pokoju, jest jego bowiem zwolennikiem, gdy dotąd był wrogiem. Biedny Rasputin tak teraz pokutuje na szpaltach dzienników jak ongiś Menelik, negus abisyński, który umierał kilka razy, a o którym do dnia dzisiejszego nie wiemy, czy przypadkiem nie żyje.

Kwestyami temi zajmować się będą niezawodnie przedstawiciele *ententy*, którzy zjechali się w tym czasie z różnych stron w Rzymie, by omówić sytuacyę, pocieszyć Rumunię i dać odpowiedź na notę mocarstw centralnych, proponujących zawarcie pokoju na warunkach sprawiedliwych. To właśnie słowo „sprawiedliwych", zabiło im klina. Na wszelkie warunki gotowi się zgodzić, tylko nie na takie. Dziwił się ktoś, dlaczego wybrali Rzym, a nie Londyn albo Paryż, ja mogę mu to wytłumaczyć, gdyż jestem w tej kwestyi poinformowany. Finanse włoskie są tak opłakane, iż brakło w kasie państwowej lirów na opłacenie dyet dyplomatów, gdyby musieli wyjechać za granicę, a trudno wymagać chyba, by tam poszli piechotą. Lepiej więc będzie, jeśli sprzymierzeńcy przyjadą do Rzymu. W każdym razie coś zostawią, a z braku innych pożądani są i tacy turyści.

Jako neutralny, w obradach zjazdu udziału nie wezmę, choć mógłbym się im tam przydać i na niejedną kwestyę otworzyć oczy zaślepionym.

Bardzo także żałuję, iż nie mogłem wziąć, z tego samego właśnie powodu udziału w pogrzebie francuskiej prorokini, pani de Thébes, która nie doczekawszy się na spełnienie się swych przepowiedni, przeniosła się na łono Abrahama. Bardzo mi żal, że nie doczekała wjazdu do Paryża owego tryumfalnego wozu, którego turkot już rok temu słyszała. Zdaje się, było to tylko złudzenie akustyczne.

Trzeba jednak dać spokój sprawom politycznym (choć kto wie, czy do nich jeszcze nie wrócę) i skończywszy wyżej z życzeniami na piśmie, pochwalić się, kto mi ustnie winszował, a komu ja.

W pierwszym więc rzędzie znalazł się cały żywy inwentarz domowy z Weronisią na czele. Im można było za życzenia podziękować, nie trzeba było sięgać do kieszeni. Kasi jedynie, naszej kucharce, pokojówce i t. d. w jednej osobie, obiecałem za życzenia koronę, skoro tylko wyjdę do miasta i zmienię pieniądze. Gorzej było ze stróżką, stróżem, listonoszem, kominiarzem, kanalarzami i całym szeregiem innych gratulantów, życzących „fortuny i korony" (nie wiem tylko jakiej, austryackiej, nowego wydania, czy niebieskiej). Im podziękowanie słowne, ani obietnica nie wystarczy, znają tylko podziękowanie w gotówce. Poszło więc niepotrzebnie parę koron. Najbardziej rozczulił mnie ów jegomość, który, na zapytanie, co go tutaj z życzeniami sprowadza, odpowiedział:

— A dyć my razem, proszę dobrodzieja, stali kiedyś bez dwie godziny w ogonku przed trafiką Bujańskiego!...

Stałem tam, to prawda, ale czy z nim, tego powiedzieć nie mogę, w każdym razie przecież, jako towarzyszowi rzekomemu niedoli, podziękowałem żelazną dwudziestohalerzówką, z której widocznie nie był zadowolony, oglądał ją bowiem na wszystkie strony. (A może widział ją po raz pierwszy?... przyp. zecera).

Innym gratulantom trzeba było dać po koronie, zwłaszcza zaś listonoszowi pieniężnemu, by się nie zniechęcił i częściej człowieka odwiedzał.

Wydało się więc niepotrzebnie kilka koron, o tyle będzie kulał budżet miesięczny, będący i bez tego w bardziej opłakanym stanie niż włoskie finanse. A złożyły się na to różne okoliczności, między innemi zaś przedewszystkiem podwyższenie czynszu mieszkaniowego (po raz pierwszy w tym roku!...) i podrożenie biletów wolnej jazdy tramwajem, za które trzeba płacić tytułem podatku i należytości stemplowej po czterdzieści osiem koron. Na taki jednorazowy wydatek pozwolić sobie nie mogę, płacę więc za każdą jazdę osobno, ale na takiej kalkulacyi naigorzej wychodzi kieszeń. Gdyby nie nogi (a jest to już moja ostatnia para!) chodziłbym piechotą, jak ci z mych kolegów, którzy powiadają, iż tramwaj w tym roku postawili ich na nogi.

A tu, jak na złość, zdrożało mięso i to wcale poważnie. Są urzędowo wprowadzone trzy dni postu (dwa ściśle, jeden „barani"), odtąd trzeba będzie, zdaje się, pościć cały tydzień, nie każdy bowiem zdobędzie się na taki zbytek, jakim jest kawał mięsa. Wołowina doszła już u nas do ośmiu koron za kilogram. Jednem słowem, jak powiada pewien filozof, strasznych dożyliśmy czasów, nic też dziwnego, że pragniemy pokoju, a z nim powrotu dawnych, normalnych stosunków. Nie pragną go jedynie niektórzy obywatele Kazimierza, mający nagromadzone towary, a bojący się, aby w cenie nie spadły. Opowiadają, że gdy ogłoszono notę pokojową prezydenta Wilsona, wywołało to od Plant aż po Wisłę taki harmider i gwałt, niczem nowy musterunek! Z chwilą rozpoczęcia kroków pokojowych towary spadną w cenie, na razie idą w górę, nic też dziwnego, że spekulanci chowają je i czekają na lepsze konjunktury.

To jest właśnie przyczyną, dlaczego brak nam nieraz najniezbędniejszych środków do życia, dlaczego one nagle giną z horyzontu i nagle, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki się pojawiają, a zarazem tłumaczy nam to, gdzie szukać przyczyny, iż jedni schodzą na dziady (konsumenci, zwłaszcza zaś urzędnicy i różne wolne stany), drudzy zaś stają się milionerami (kupcy, dostawcy, przemysłowcy).

Jednej chyba rzeczy już nie braknie, to jest wody. Rezerwowy wodociąg połączono już z główną siecią rur, ponadto w ostatnich czasach mieliśmy tak obfite opady, iż sprzykrzyło się to nawet Wiśle. Zagroziła wystąpieniem z brzegów i uległa jedynie prośbom i przedstawieniom magistratu, że to nie pora. Wylewy są w ustawie gminnej przewidziane na wiosnę, w lecie i jesieni, ale nigdy w zimie. To ją widocznie przekonało; uspokoiła się wreszcie i powróciła do zwykłego koryta, gdzie toczy swe srebrne fale w stronę Gdańska.

Swoją drogą magistrat krakowski miał zawsze szczęście i prawdopodobnie będzie się niem cieszyć i w tym roku, czego mu, jako pośrednio interesowany, życzę z całego serca. Niech tylko wodociąg zacznie cierpieć na bezwodzie, w kilka dni mamy z pewnością deszcz, który go wilgocią zasili; nazbiera się śmieci na ulicach i na Rynku, przyjdzie wiatr i wywieje je za rogatki... Oby tak poprosił niebiosa w szczęśliwą chwilę o pokój, może jego błagania, przesłane drogą urzędową, zostałyby prędzej wysłuchane!

Na tem wyszedłby najlepiej i sam zarząd miasta, wówczas bowiem możnaby rozpuścić na zieloną trawkę całą falangę tak zwanych sił pomocniczych, które pomagają... do robienia deficytu, a grosz, w ten sposób oszczędzony, możnaby obrócić na jakiś cel użyteczny. Ale może właśnie dlatego nie prosi się o pokój, by różni panowie radcy nie mieli kłopotu ze swemi kuzynkami i pupilkami...

Powiadają jednak wtajemniczeni, że i bez tego poprawią się stosunki, zwłaszcza od czasu zamianowania nowego ministra, któremu mają bezpośrednio podlegać wszelkie sprawy aprowizacyjne. Będzie to pewnego rodzaju minister... amunicyi żołądkowej.

Dałby to Pan Bóg!... Zakres jego władzy jest w każdym razie bardzo sympatyczny!

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Ułożył Iii Ey, Kraków.

Sprzęty stare i zniszczone
Zowią ludzie *pierwsze-trzecie*,
Drugie zaś wspak i wprost wzięte,
Dają na imię kobiecie.
Całość to drogie kamienie,
Lecz też szerzy spustoszenie.

Logogryf.

Ułożył Wł. R., Łopuszanka.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Środkowy rząd pionowy i poziomy utworzy imiona popularnego austryackiego arcyksięcia.

```
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
```

Znaczenie wyrazów: 1. To, na co wszyscy czekamy. 2. Miejscowość w Królestwie Polskiem. 3. Rzeka w Polsce. 4. Miasto w Galicyi. 5. Narodowość. 6. Szukane wyrazy. 7. Kraj w Europie. 8. Miasto w Królestwie Polskiem. 9. Część wozu kolejowego. 10. Miasto w Czechach. 11. Cudowny pokarm.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie.

Owe średnice to pękami siekli.

Okienko.

Ułożył Iii Ey., Kraków.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

```
a a a a a
f   i   k
k l l n n
n   n   r
r r r z z
```

Znaczenie wyrazów: 1. Moneta. 2. Dopływ Dunaju. 3. Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Łubin, ślad, glony, mech, em.

Grzebieniówka.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko i imię zmarłego niedawno polskiego artysty malarza.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Imię męskie. 2. Gwałtowny wicher. 3. Miasto w Galicyi wschodniej. 4. Najwyższe zatwierdzenie. 5. Dochód. 6. Złudzenie. 7. Popularny napój. 8. Miasto w Królestwie Polskiem.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Iii Ey., Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa polskie przysłowia:

1) i e a e o e o e o

2) y e, a a o i a y e.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Iii Ey., Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego powieściopisarza.

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — — — —
■ — — — — — — —
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Cześć świata. 3. Miasto w Karyntyi. 4. Imię męskie. 5. Kraj w Austryi. 6. Miasto na Śląsku. 7. Napój. 8. Rzeka w Galicyi. 9. Przyimek. 10. Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S. Drewienko, Prądnik.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Juliusz! Wal woły w ! anie.

Bilety wizytowe.

Ułożył E. Winter, Tarnów.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

T. AGATORI.

C. STYLACKI.

Ł. ŻUDNIK.

LEON GIKOG.

A. TIHOKRYP.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 53.

Łamigłówka literacka:

Miłość
Ogniwa
Najmłodsi
Italia
Upiór
Srebrne szczyty
Zaklika
Krewni
Oazy.

Zadanie do przestawienia: Kto się miesza z plewami, tego świnie zjedzą.

Trójkąt magiczny:

```
C e s a r z K a r o l
E n t u z y a s t a
S a r m a t y z m
A r t e m i d a
R a t u n e k
Z i e m i a
K u r y a
A l f a
R ó j
O n
L
```

Zadanie do przestawienia: Nie wywołuj wilka z lasu.

Okienko:

```
K a r a k o n
a   ę   o   i
r ę k a w k a
a   a   a   g
k o w a d ł a
o   k   ł   r
n i a g a r a
```

Zadanie do przestawienia: Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem.

Kwadrat magiczny:

```
A r a d
r a d a
A d a m
d a m a
```

Grzebieniówka:

```
H e n r y k S i e n k i e w i c z
a   o   e   l   u   s   w   y
b   w   k   r   e   r   t   o   g
d   e   a   a   k   e   r   n   m
a   l   t   f   t   n   a   i   u
n   l   a   i   o   d   d   c   n
k   a   n   n   r   a   a   z   t
```

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S Grodzicki Praga. S Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M Wiśniewska Lwów S Bednarski Przemyśl, S Jaśkiewicz Wiedeń. L Kozubski Wiedeń, L Wisłocka Tarnów, L Serkowski Rzeszów, K Dolński Kraków. E Winter Tarnów, J Sosenko porzt. pol. 286. M mozs Sambor, F Steifer Olkusz. W Sosenko Podgórze.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **K. Karpowicz, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„Na Przełomie“. Od lipca u. r. wychodzi w Krakowie czasopismo społeczne i literackie p. t. „Na Przełomie“, redagowane przez młodzież Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod naczelnym kierunkiem p. Stefana Papée, prezesa Koła Polonistów U. J. Dotychczas ukazało się pięć numerów, obejmujących ciekawe artykuły społeczne, czy literackie doc. dr. Haleckiego, p. Buczkowskiego, K. Schw. Czernego, K. Gabryelskiego, F. Kiełpińskiego, dr. Kannenberga, St. Papée, Wł. Rutkowskiego, B. Wolskiego, oraz poezye i nowele M. Czeskiej, M. Jagoszewskiego, H. Stawarskiej, St. Rostworowskiego i Z. Umlaufówny. Numery uzupełniają notatki ze spraw ekonomicznych, z książek i obszerna kronika z życia na uniwersytetach w Krakowie, we Lwowie i w Warszawie. Redakcya rozpisała ankietę w sprawie reformy studyów na polskich uniwersytetach, wzywając do udziału w niej profesorów, byłych wychowanków i obecnych słuchaczy. W tej ważnej sprawie pierwsi zabrali głos dr. Jan Łoś i dr. K. Nitsch, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, rzucając myśl reformy ogólnego urządzenia i dotychczasowego sposobu nauczania. Chcąc zapewnić trwałość pisma, redakcya zaprasza profesorów, słuchaczy i zwolenników do utworzenia „Koła Wydawniczego“, popierającego czasopismo. Pożytecznemu organowi polskiej młodzieży uniwersyteckiej życzyć można jak najliczniejszych Przyjaciół i Czytelników.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien — **Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego**

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 381.

KALENDARZ PRAWNICZY

kieszonkowy

z raptularzem na rok 1917

Rocznik drugi zawiera dokładny wyciąg ustaw stemplowych opuścił prasę. Cena w ozdobnej płóciennej oprawie K 3·50. Za nadesłaniem K 3·80 lub za zaliczką wysyła

Księgarnia D. E. Friedleina

Kraków, Rynek 17.

Trociny drzewne

sprzedaje

Zarząd Wodociągu miejskiego, Kraków, Dz. XII., Senatorska 1.

KINO-WANDA

przy ulicy św Gertrudy L 5.

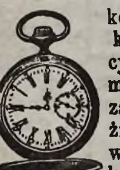
Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.



Pewny skutek. Tysięczne listy z podziękowamami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6/F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. Perfumerya pod „Kometą". K. Miklaszewski, plac Dominikański. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem" ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. Kołomyja: apteka Lopotka, ul. Jagiellońska. Tarnów: droguerya Bracha. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anckerdrog.

8 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła: **Pierwsza fabryka zegarków**

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker Kor. 6—, 7—, 8—, ze szwajcarskim werkiem K. 7·—, 8·—, 9·—. Pamiątkowe zegarki niklowe lub stalowe Kor. 11·—, 12·—. Wojskowe zegarki z radium niklowe albo stalowe Kor. 12·—. Masiwne srebrne zegarki „Roskopf" K 19·—, 20·—. Budziki ścienne i stojące w wielkim wyborze po bardzo nizkich cenach. Na każdy zegarek 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

Każdy jest tem zachwycony!

Kieszonkowe kino!

Aparat z 50 filmami, w gustownej kasecie **tylko 2·10 K.** Osobna serya filmowa 1 K. Kinematograf z ręcznym obrotem, lampą etc. Koron 14·—, 25·—, 38·—. Odpowiednie filmy K. 1·—, 2·—, 3·— i więcej według długości W krótkiem czasie **pół miliona** sprzedano. Za nadesłaniem należytości i 80 hal. na porto i opakowanie. Za pobraniem 60 hal. więcej wysyła

T. R. Bergmann, Wiedeń V., Kohlgasse 46/III.

Odsprzedającym odpowiedni rabat.

Nowa **Nr. 15.**

mapa miesięczna

wszystkich frontów wyszła z druku. Cena z przesyłką K 1·10.

Księgarnia D. E. Friedleina

Kraków, Rynek 17.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych

Olśniewająco piękną twarz

i młodocianą płeć do późnej starości zachowają kobiety i dziewczęta przy użyciu mojej tysiąckrotnie wypróbowanej recepty. Wszystkie nieczystości skóry jak piegi, plamy wątrobiane znikają. Wysyłam każdemu za nadesłaniem marki na odpowiedź, odpis tejże recepty zupełnie gratis.

Fr. Menschik, Wiedeń 62, fach poczt. 1. Oddz. 34

BLUSZCZ

Jedyne obecnie polskie pismo z modami dla kobiet

zacznie wychodzić od stycznia.

Zgłoszenia na abonament przyjmuje księgarnia D. E. Friedleina, Kraków, Rynek 17.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem. Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła **Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.**

Bandaże na przepukliny



(ruptury, bruch) pępka, brzucha, pachwiny i worka. — Opaski brzuszne dla pań i panów. Prostotrzymacze. Bandaże na żylaki i t. d.

M. Z. POLACZEK, Sambor 52. Cenniki darmo.

AKTUALNA NOWOŚĆ! SATYRY WOJENNE.

Cena 3 korony.

GRUBA BERTA

STEFANA NOWIŃSKIEGO

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Zakład instalacyjny

Henryka Willmanna

Kraków, ulica Jagiellońska L. 6

projektuje i wykonuje:

wodociągi, łazienki, klozety, kanalizacye, pompy, urządzenia ciepłej wody, centralne ogrzewania, gazowe oświetlenia i t. p. Naprawki w powyższy zakres wchodzące **uskuteczniа się w najkrótszym czasie.**

Założony w roku 1900! — **Po drodze do Zakopanego** — Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie ubiory męskie

wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze. Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

ZARZĄD WODOCIĄGU MIEJSKIEGO w Krakowie, dzielnica XII., ulica Senatorska 1 poszukuje kilku ślusarzy i robotników z robotą ślusarską obznajomionych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego